

„A gdy w głąb duszy wnikniemy” ...

GABRYELA ZAPOLSKA.

„A GDY W GŁĄB DUSZY
WNIKNIEMY” ...

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Z przedmową

Wł. Jabłonowskiego.

TOM II.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.
1904.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Октября 1904 года.

XV.

Zmęczony fizycznie, wyczerpany umysłowo oparł się Zagrodzki o biurko redakcyjne, za którym siedział, robiąc korektę swego wstępnego artykułu.

Szło mu o zręczne przelawierowanie między dawnymi zasadami, które głosił, a zasadami stronnictwa, z którym kokietował. Były tu odcienia napozór nic nieznaczące, ale w świecie rozpolitykowania mające rozmiary olbrzymie. Pewne ustępstwa na rzecz łagodniejszej partii były konieczne i w gruncie rzeczy Zagrodzkiemu ustępstwa te przychodziły z bezczelną łatwością. Szło tylko o dobranie wyrazów, aby mu jego obecna partya nie zarzuciła zbyt jawnego odstępstwa.

I w tej torturze nad doborem gładkich, węzowo zręcznych słów dręczył się ten człowiek i nękał, jakby szło tu o zbawienie całego społeczeństwa. Piękny zawsze, lecz jakąś tragiczną pięknnością zgalwanizowanego trupa, prezentował w oświetleniu dużych redakcyjnych okien swą bladą maską strawionego namiętnością człowieka.

Za oknem pyszniło się lato bogactwem żaru i blasku, szemrała woda fontanny, lecąc kaskadą brylantów, błękitno odziane dzieci roztaczały urok świeżych kwiatów, a białe róże, wytryskujące bukietami, rozsypywały deszcz śnieżnych płatków po szmaragdach trawy...

Zagrodzki nie widział nic, zacierzewiony w cuchnącym pasku bibuły.

Już trzeci raz przeglądał i poprawiał ciągle, wybierając słowa zbyt śmiało, wyobrażając sobie, że artykuł jego zrobi niemalą „sensację” i „postawi go” na odpowiednim stanowisku.

Odziany jak zawsze w swe jasne palto, nieposzlakowanie wielkopański i rasowy, delikatny w połączeniach rąk i manierach, miał pozór topielca, którego fale rzeczne w wir wtrąciły i szarpiały nim z całą zaciekłością.

Przed biurkiem zjawił się cień obszarpanego, redakcyjnego chłopca.

— Proszę pana o skrypt!

— Zaraz!...

I znów jeden wyraz wyłowiony, a potem ciężka praca i zastanowienie, czem by go zastąpić można.

Nagle, w parterowym oknie redakcyi zacieśniała jakaś głowa.

— Czy można?

Zagrodzki poznał ten głos zachrypli.

— Zaraz!

Wstał i zajrzał do sąsiednich pokojów. Cała redakcyja była pusta. Współpracownicy rozeszli się na obiad, pozostawiając po sobie masę papierów, niedopalków, zapalek i niedopitych szklanek z herbata.

Zagrodzki powrócił do okna.

— Chodźcie.

Rzucił korektę chłopakowi. Zadudniły bosc pięty, równocześnie rozległy się ciche, jakby zwierzęce kroki.

Wionęło wódką, suterynami, potem i tanim tytoniem.

Równocześnie coś okrutnego, przyczajonego a nieuchwytnego wpęzło w przestrzeń.

Wszedł Wierciak.

Ręce w kieszeniach kurtki, wzrok ukośny, a ogarniający wszystko, nieokreślony wyraz pogardy na opierzchłych ustach.

— Wielmożny pan redaktor sam?

— Tak!

Zagrodzki usiadł znów i przybrał swą zwykłą hieratyczną pozę egipskiego króla, którą pokrywać się starał wzburzenia wewnętrzne.

Oczy krwią opłynięte utkwil w mapę Galicyi, po której laziły całe roje sennych much.

— Niech Wierciak mówi!...

— Proszę pana redaktora o pieniądze.

— Wierciak już niema!

— Ho! ho!...

— Po cóż Wierciak rozdaje naprzód?

Wierciak ramionami ruszył.

— Inaczej nie znajdę dobrych naganiaczy. Wszyscy pójdą do Mysłowskiego. A podczas wyborów, to zostaną się, z przeproszeniem pana redaktora, same wszarze i nikogo nie nagonią. Potem co do Żydów, to już najlepiej przez rabina, aby on z kahałem... bo to psia wiary, taka psia mać żydowska, to... zresztą pan redaktor rozumie. Ja to już z katolikami zwyczajny i mam ten obrót w rękach — na Żydy to już nie pójde...

Zaszemrało coś w drugim pokoju. Zagrodzki niespokojnie we drzwi spojrzał.

— Kto tam?

Cicho wsunęła się do pokoju Anka.

— To ja, ojczel!

— A!

Widocznie był niezadowolony, usunął więc gestem Ankę do dalszych pokoiów.

— Pozwól, chwileczkę, jestem zajęty!

Anka cofnęła się poniekąd rada, iż nie będzie potrzebowała pozostać w jednym pokoju z Wierciakiem.

Rozmowa Zagrodzkiego z „hyeną wyborczą“ trwała dalej już przyciszona i ostrożna. Zagrodzki ciągle z panska i przez trzecią osobę traktował Wierciaka, który zdawał się całą siłą kryć swą siłę i pazury szkodliwego zwierzęcia. Wreszcie szepł stał się tak cichy, iż ledwo obijał się o ściany pokoju. Było w tym szepcie coś smutnego, coś wyczerpanego i podnieconego.

Na ludzkiej próżności grała pazurami chciwość i chęć zysku.

Anka pozostała sama w środkowym pokoju redakcyi.

Nie słuchała szeptu ojca z Wierciakiem.

Nie był dla niej nowością.

Znała go.

Wmyśliła się sama w siebie całą siłą i zdziwiła się, że nagle przestała władzę posiadać nad sobą tak wielką, do jakiej przywykła.

Chciała pozostać samą, a było z nią myślowo dwóch ludzi — Narbutta i Stalewski.

Szli naprzeciw niej, jakby wysłani przez siłę jej nieznaną, duchową.

Chciała ich podporządkować pod swoje pragnienia i chęci, uczynić z nich drugorzędne postaci, tymczasem oni stali niewzruszeni, zajmując plan pierwszy.

Dlaczego — obaj?

Dlaczego Stalewski?

Jeśli mogła nawet rozklasyfikować ich zjawienie się i zagarnięcie myśli, to nawet Stalewski zaczął kryć Narbutta.

Lecz różnica była ta, iż z Narbuttem wiązała ją nocą zadzierżgnięta nić przywiązania. Stalewski zjawiał się w jej myśli po za promienną wizją konającego kwiatu.

Więc oni?

Dlaczego?

W kurytarzu wiodącym do redakcyi rozgwarzyło się nagle od młodych głosów.

Szmer butów, szarpnięcie klamek i do sąsiedniego z Anką pokoju weszło kilku młodych ludzi.

Było ich kilku zaledwie, a zaszemrało aż — i wypełniło się powietrze, jakby całą masą bardzo zadowolnionych z danej chwili istot.

Tak, tak — pomyślała Anka — to oni, ci, którzy tryumfują siłą swoją.

Tryumfują, a zarazem szyczą.

Młodością — zadrgało powietrze.

Lecz młodość ta była tragiczna i niosła za sobą chęć zniszczenia.

Pomiędzy nimi był i Narbutta.

Anka wyczuła go cichem uczuciem, jakiego się doznaje w pobliżu znajomego grobu.

— Jakże napiszemy? — pytał jakiś głos nieznanym.

Milczenie.

Skrzypiały buty, rozległ się suchy trzask zapalanej zapalki.

— Jakże napisać? — pytał znów uparcie głos o niemilem, pospolitem brzmieniu

I znów milczenie.

— Niechże który zredaguje.

Z odległego kąta pokoju dał się słyszeć głos tak harmonijny, tak serce ciągnący, iż zdawał się

czarować muzyką fletu, w który zamknięto archaniola, rozśpiewanego w wiosenny ranek słoneczny.

— Czy koniecznie trzeba pisać?..

— Wypada—odparł głos o zwyczajnym brzmieniu.

— Wypada... jak echo, melodyjnie zadźwięczało w powietrzu.

I zaraz potem śmiech dziwny, wstrząsający, niweczający najzupełniej czar rozwianego przed chwilą głosu.

Lecz śmiech ten był wydzwoniony tym samym głosem, złączony z nim pokrewieństwem najsilniejszym. Śmiech ten wydobywał na jaw, co ten głos krył.

Anka знаła ten głos.

Słyszała go już nieraz we śnie, gdy nagle bez przyczyny, jakby demon osłoniły ją całą skrzydła jakiegoś zwątpienia i dusza jej targać się zaczęła w pętaniu wieczystem.

— A potem?

I głos ten czarowny, gnieźdzący w sobie jakby kłęb węzów, wizyjną myśl Zniszczenia, zaklął los w postać niezwykle piękną, szarmonizowaną w liniach i barwie, tak jakby rzeczywiście na ziemię spadł Demon z wieczystym nakazem snucia się pomiędzy ludźmi i szukania schylonych głów i drżących na strunach życia dusz.

Nazywano go „Lelian“ a stan cywilny wykazywał nazwisko Józef Markowski.

Lecz ci, którzy go znali w kawiarnianych mroczkach, lub w żółtem świetle latarni, rozmigotanych chorobliwie w mgłach nocnych miejskich, ci, do których wtulał się niejako złożywszy w krzyż skrzydła i czarem głosu, czarem oczu szafirowych pieścił ich chorobę woli, ich neurastenie dziedziczne lub nabyte — ci nazywali go „on.“

Dla Narbutta był to „on“.

Przez wspólność myślowego prądu i dla Anki to był „on“.

Lecz Narbutt wtulał się w „niego“ sam zwątpieniem i słabością swoją.

Anka zachowywała się odpornie, nie żądając słodczy i czaru głosu, jako daniny koniecznej dla swej egzystencji.

Narbutt i jemu podobni w „nim“ szukali usprawiedliwienia ze swych czynów i błędów. Anka, którą jej własne skrzydła niosły ścieżką prostą ponad ziemią, nie zwracała się w tę stronę, gdzie delikatnie szeleściły skrzydła demona zwątpień.

— Patrzę w głąb dusz!.. — mówiła.

„Ona“ nie patrzył, „on“ zaglądał ciekawie.

Zrenice jej niosły litość i ciepło.

Jego zrenice migotały ciekawym szafirem sensacji.

Oboje niesli w rękach światło lamp, którymi rozświetlali ciemnice dróg.

Po obu stronach drogi życia ciemniały skupione, zbolale postacie tych, którzy nie wiedzą, co pragnąć mają i czy cieszyć się, czy boleć nad tem, że żyć muszą.

Ścieżką tą, tak bardzo do Golgoty podobną, płynęła Anka ze swą lampą i smuga jej do tej chwili tylko litosna, już drżała wpływem Narbutta, płodną siłą podnoszącą omdlewających i rozjaśniającą mrok, w który dusze napotkane, a bólu pełne, były spowite.

Tak pragnąć zaczęła.

Lecz oto drży światelko inne, migoce, czaruje, hipnotyzuje, wabi.

Biegnie „on“, rozsunał cicho skrzydła, biegnie „on“ i brylantowo migoce lampą swego zwątpienia, które strój pozorami ekstazy Nirwany.

— Złe ci?... szumią czarne, cudowne skrzydła, złe ci, cierpisz? zgiń, przepadnij! rozplyń się w Do-

skonałości... wróć do Prabytu, zostań tem, czem by-
leś, Jednością — duchem, wykwitnij czarem ziół,
ciałem...

Słodki głos, destrukcyjny słodki głos...

I zaraz potem... Zabij się!...

Na chwilę lampa w ręku Demona gaśnie. Ze
ścieżek powstają postacie dusz zmęczonych i stoją
nieruchome pod czarem tego Objawienia, na które
czekały.

— Mękę skróć!...

Lopotu skrzydel już nawet niema.

Mysł tragiczna przeniknęła, przepoiła dusze.

Zabij się!...

.....

Na krawędzi okna siedzi Lelian.

Złote włosy obramowało delikatnie słońce.

Siedzi i patrzy na grupę młodych ludzi zbitych
koło biurka.

Do świeżych, koralowych warg przyłgął mu
wieczysty papieros.

Narbutt stoi blady, jak trup, po jeszcze jednej
nieprzespanej nocy. Z piękności odkrytych przed
Anką myśli znów błakają się cienie. Alkohol dzia-
łać przestał. Narbutt wyrasta z bagna, jak kwiat.
Błądzi wzrokiem po ścianach redakcyi.

Kto wie, radby pozostać sam, pisać, malować...
tworzyć chce.

I patrzeć w dusze ludzkie i siłę swoją, która
mu wraca, przelewać w te dusze, lub podawać im
źdźbło ratunku, po którym zdołają zdźwignąć się na
wysokość promienniejszych istnień.

Tak chce Narbut jeszcze w tej chwili, gdy
słońce złoci powietrze i ziemię. Wyciągnęło z nie-
go truciznę szynkowni i rozpusty.

Prymitywny człowiek rozgorzał czystym płomie-
niem pod odzieżą, w którą go „cywilizacya“ wtło-
czyła.

Rozgorzał czystością, jasnią, oddechem, pra-
gnieniem wtopienia się w Piękno natury.

Narbut chce żyć, chce innym życie możliwe
uczynić.

.....

Pochyleni nad biurkiem radzą, jak zredagować
wieść o samobójstwie.

— Ile miał lat?

— Dwadzieścia.

— Więc ostatnie było „Za światy“?

— Przecież wiesz, oddane dopiero przedwzo-
raj do drukarni.

— Mauzoleum...

— Niech będzie.

Trzask zapalek. Ci ludzie palą, palą ciągle.
Zatruwają się bez litości.

— Napisać prosto notatkę, tak i tak...

— Nie nie.

— Dodać coś? po co?... jaki cel?...

— Bydłeta jesteście!

— Och! och!...

Znów cisza.

Piszą, czytają, przemazują.

Anka stoi zdrętwiała.

Zkąd oni wiedzą? zkąd?

Ten trup leży przecież jeszcze nieodkryty. Czują nad nim dusza lasu i strzeże swemi zielonemi żrenicami.

Krąży dokoła kobieta odziana czarno, w długiej, fałdzistej szacie.

Lecz wejść do lasu nie śmie.

Tam jeszcze jęczy szamocąca się dusza samobójcy.

I przed tą grozą — ustaje zagadkowa jej władza.

Z grupy piszących słychać znów słowa.

— Więc stanowczo, rewolwer?

— Tak, wczoraj wziął od Stefki. Nie umiał się obchodzić. Strzelali do drzwi. Zastalem ją wyczerpaną. Leżała jak martwa. Bałem się, że zapadnie w katalepsję.

— Nie należało przeszkadzać. Kto wie, coby z tego wynikło...

— Ach bydlęta! bydlęta!...

Narbut odsunął się trochę od całej grupy, która zimno dyskutowała nad ułożeniem naprzód pośmiertnej wzmianki o trupie, który jeszcze oficjalnie i państwowo z listy żyjących wykreślony nie został.

— Gdzie?

Pytanie krótkie, zwrócone w stronę Leliana, urwane słowo; on jeden wiedział dokładnie.

— Całą noc piliście do białego dnia...

Milczenie.

— Rozstałeś się z nim, gdzie?

Milczenie.

Z głębi głos trochę ochryply.

— Spodziewam się, że piliście absynt.

Milczenie.

I nagle jakies lekliwe, trochę litośne, przygasłe:

— Ach bydlęta! bydlęta!

Lelian nie mówi nic.

W tym dusznym pokoju redakcyjnym przeżywa rozkosznie ostatnie chwile, spędzone u boku samobójcy.

Szli od zmierzchu, z knajpy do knajpy i potem tarzali się po mrocznych ławkach miejskich plantacyj. Tamten wyl prawie i płakał.

— Złe mi na świecie... głupio... zwierzęco głupio... złe mi...

A Lelian z anarchistyczną namiętnością destrukcyi szepcze mu słowa, w które wlewa czar słodkiego głosu i usiłuje nadać im dźwięk ten, na który wieki czekają jak na Objawienie najdoskonalszej Prawdy lub najpotężniejszego demonicznego objawu Negacyi.

— Zabij się!...

Biedny szmat stworzenia przepojonego alkoholem i nikotyną drży, szczeka zębami.

— Tak... może..

— Uspokojenie, rozkosz, rozplynięcie się w mistycznym dreszczu twórczej potęgi.

— Tak, tak.

Z kwiatów jak z kadzielnic biją wonie. Drzewa szeleszczą tajemnicę swoją. Gwiazd miryady opalami przez gałęzie przeciekają.

— Musisz się zabić!

Leliana głos dźwięczy spiżowo. Prośba zamienia się w rozkaz. Dwie postacie skurczone, w wyszarzanych paltach, w pomiętych kapeluszach tragicznie się znaczą wśród białych werwen i bratków.

— Chodź!... za mało piliś... niezdolny jesteś wznieść się do wysokości, na której Czyn zniszczenia staje się Czynem Twórczości. Psy twoich ziemskich przywiązań cię więżą... chodź.

— Może jeszcze...

— Co? czekasz na przypadek, który ci rzuci jałmużnę chwilowego złudzenia? Nostalgia twoja silniejsza... o! o! jak cię zre — z karku wdziera się w serce. Czujesz ją? Hu! hu!... czuj i cierp...

— Może jeszcze...

— Na tyłeś pijany, że czepiasz się żdźbła wizyi, lecz nie tak pijany, aby przeczuć Nicość walki, w której krwi plawisz. Chodź... chodź!...

Wstają obaj, dźwigają się wzajemnie.

Idą zwolna wśród smug woni kwiatowej, która się im ściele pod stopy. Lelian wyczuwa tę woń, jak wyczuwa rozkosznie szarpanie się nieszczęśliwego skazańca, który hypnotycznie wlecze się jego śladami.

Otwarte wrota kawiarni, przez nie bucha smród, dym, kłęb ludzkich kłamstw i rozpacz.

— Ha no, tu...

Weszli.

Marmur porysowanego stolika, naokoło morze śliny na podłodze i odpadki papierosów.

Mały chłopak z oczyma lunatyka patrzy na nowych gości uparcie i sennie.

— Dwa koniaki!

Lelian nie pije.

To tamten wypije dwa, dziesięć, dwadzieścia. Nagle wyjmuje z kieszeni zwitek papierów. Jego dzieło, ukochane, potężne — wielkie.

— Może jeszcze...

— Co? co?... to?... ależ zastanów się, jedną chwilą swego samobójstwa sprawisz większe wrażenie, niż całym stosem gryzmołów... Co dasz w porównaniu do swego zniknięcia, królewskiego odejścia pysznego Mocarza, który odtrąca od siebie stół biesiady, pełen najwytworniejszych dań i puharów!

— Może jeszcze...

— Co? co? jeszcze pogdakać drukiem, aby cię czytano przy herbatce w zacisznym ustroniu koltu-

nów? Co? co? Milczeniem śmiertelnej grozy stಾನiesz wobec tych, o których ci chodzi, najdoskonalszym nagim Geniuszem i jeden gest cię ocali od upadków talentu i ośmieszeń tłumu... Zostaniesz Wielkim, bo zamilkiesz... rozumiesz? rozumiesz?..

I tamten nie mówi już: „może jeszcze“...

Kawiarnia opustoszała.

W kącie zegar szmerze, jak oddalona fontanna, chrypi, śpieszy się, aby podążyć za czasem, który rozchwiał się skrzydłami, bieży, wstrzymać się nie może...

I cicho, nieśmiało, w ten szmer zegarowy, w tę ciemnię żółtawą brudnej knajpy wpływa jakieś lkanie dziecinne, dławione...

Lelian je słyszy.

Chwilę zamroczył mu się wzrok przeszafirowych źrenic.

Ale wstrząsnął się cały i już pochyła się nad lłkającym dzieckiem, łagodny a silny.

— Przecież musisz się zabić!

Mileczenie.

Jeszcze dwa, trzy koniaki i znów dźwigają się obaj, wychodzą na chłód, na pustkę, na ciemnię.

Krążą znów po plantacyach w woni kwiatów, Lelian nie mówi już nic, ujął rękę towarzysza i wie-dzie go za miasto.

— Ty wiesz, ten ciemny lasek, tam, gdzie Sro-czyńska trzy miesiące temu...

— Wiem... wiem...

Idą.

Jeszcze nie świta, ale już przecucie brzasku płącze się u wierzchołków drzew.

Cisza światowa zalega świat, oczekiwania wielkie i wszechpotężne.

Lelian teraz jest pewien swego. Teraz dobrze przygotowany. Samobójca otarł łzy i podniecony prawie idzie na śmierć. Zaszuggestyjonowany „he-

roizm“ w jego żyły niesie go prawie w czyn. Znie-
nawidził siebie obecnego. Idzie go mordować bez
litości. Gotuje się jak rycerz do boju. Och! gdyby
ten szmat ciała się zbuntował, potrafi go pokonać,
zdławić, zniszczyć...

W kieszeni trzyma rewolwer. Jest! jest!... oto
rozwiązanie najłatwiejsze kwestyi. Że też mu to
wcześniej na myśl nie przyszło.

Przechodzą most i nagle Lelian wskazuje mu
drogę.

— Prosto idź, brzegiem rzeki, wejdź do lasu...

— Wiem! wiem!...

Nie żegnają się uściskiem, Lelian gardzi obja-
waniami gestów.

Sam jest szczodry, lecz nie przyjmuje nic.

Ten jednak, skazany, garnie mu się do piersi,
jak zraniony ptak tuli się do traw, na które padł.

— Nie, nie... — odpycha go Lelian — bez roz-
tkliwiań, idź...

Posłuszna, zahypnotyzowana postać chłopięcia
odchodzi w ciemnię.

Delikatna kobieca ręka Leliana po za nim, jak
drogowskaz śmiertelny, wyciągnięta bieje.

Skazany czuje ją, czuje tę linię, po którą mu
Siła tamtego słodkiego modrookiego destruktora iść
każe.

— Tak, tak, trzeba iść.

Z początku wlecze się ciężko, lecz za chwilę
coś go gna, budząc w nim szalowy paroksyzm i pra-
gnienie śmierci. Ta władza, którą Lelian roztacza,
ciąży mu boleśnie, dręczy go takim cierpieniem, iż
dla pozbycia się jej nieszczęśliwy chce dopaść na-
znaczanego miejsca, aby tam spełnić sugerowany
mu czyn.

Biegnie prawie krawędzią chodnika

Nie rozpoznaje ani siebie, ani czynów swoich.

Wszystko zlewa się w jego umyśle w jedną
masę bezbrzeżnie straszną, którą dźwiga na sobie,
mdlejąc pod jej ciężarem.

— Zaraz się skończy!...

Pijany jest, a widzi chwilami tak jasno, jakby
błyskawice mózg mu przesywały. Teraz zdaje mu
się, iż wlecze kogoś w tym pędzie, wlecze za skrzy-
dła, że ten ktoś lka, opiera się, nie chce, prosi, bła-
ga, czepia się jego rąk, jego nóg...

— Może jeszcze...

A on odpowiada.

— Co? co?... nic niema dla ciebie, nic!...

Gwiazdy błędna, coś szarzeje w oddali, po za
liniami miedz.

Powiał zimny, chłodny wiatr, porwał się w od-
dali jakiś ptak, załopotaly skrzydła ponad wodą.

Fale cicho, spokojnie spychają się w stronę
miasta. Od nich idzie jakiś potężny wiew, jakby
związany gdzieś w przestrzeni żelaza.

Idący brzegiem chłopak brnie w tym chłodzie
i oczyma szeroko rozwartymi patrzy w dal.

— Muszę, muszę!...

Zacisnął rozpaczliwie pięście w kieszeniach
palta, paznogie wpiły mu się w ciało, on idzie bez
chwili spoczynku.

Nagle przed nim czarna płaszczyna.

To pole.

Zna je.

Chodził tu z innymi, patrzył na ich studia,
sam leżał w życie i snul z pośród złotych fal sre-
brną pieśń smutku, żaloby, hymn nostalgii bezkre-
snej, on, znużony już w łonie matki, poczęty w chwili
szarej nocy i melancholii ludzi beczynnych i bez-
myślnych.

Siła Leliana działa na odległości równie po-
tężnie, jak zblizka. Kto wie, może się potęguje wła-
śnie tym tajemniczym prądem, który przebywa.

I znów jakby uderzenie i pchnięcie straszne w kierunku lasu, tam, gdzie wyznaczony jest mu krąg cielesnego istnienia.

Tam, tam!...

Wiedzie go ta siła, niesie poprostu. Teraz już pęd go ogarnia. Biegnie przez pole, łamiąc kłosa, maki i habry. Czuje gdzie las, nie widzi go, lecz czuje i wpada pod jego drzewa zdyszany, prawie nieżywy, bez tchu, bez życia. Jest już w pół trupem dzikim, nieokielznanym, którego nic powstrzymać nie zdoła. Jak oślepy zwierz, obija się o pnie, nogi mu skrecają się w mchach, nie czuje bólu...

Uczepił go się głóg, oplątał go, pochwycił w ciernie. Szarpie go rękami, wciska ciernie w dłonie. Poczul krew.

Zgrzytnął zębami i krwią ciepłą potarł czoło. Ogarnął go śmiertelny szal.

Wyrwał się z cierni.

Pochwycił za rewolwer.

Nie mógł nawet zalkać, choć czuł, że krzyknąć musi, że się poskarżyć chce.

Strzał.

I na ziemię padł.

Oparty o balustradę mostu stoi Lelian.

Czwarty rok chodzi na filozofię, czwarty rok obnosi po rozpitem i rozhulanem mieście swój cyniczny uśmiech, swą twarz Cherubina o potężnej władzy duchowej, która ma w sobie coś z drobiazgowości wampira i olbrzymiej a groźnej potęgi syntetyzującej w sobie istotę życia.

Perwersya moralna, ten rozkoszny dreszcz w chwili poddawania innemu myśli samozniszczenia—ogarniała go już od dziecka.

— Skalecz się! — mówił dzieciom, sam dziecko o rozmarzonych oczach i delikatnie skrzywionych wargach — skalecz się... zobaczę, jak to cię boleć będzie...

I patrzy.

Po czarnym aksamicie Velasquezowskiej bluzy suną powoli białe rączki, wtlaczając w pierś ekstazę cudzego bólu.

— Głębiej!

Aż raz nagle:

— A gdybyś przeciął sobie żyły!

Tamten pobladł.

— Mógłbym umrzeć!..

Dziki błysk radości, tryumfu.

— A gdyby!...

I od tej chwili pragnienie doprowadzenia istoty żywej do konieczności rozkładu, pragnienie zostania czynem czyjejs woli.

Wieki składają się na taką Moc, jaką miał w sobie i rozwijał ten Velasquezowski chłopiec.

Zarazem rosla w nim subtelność niezwykła duchowa i rozum zaostrzał się prawie anormalnie. Intuicyą wysubtelniał go, a bystrość jego miała lotność eteru, przenikającego to, co dla innych było niezglębioną Tajnią.

Zdolność pracowania nad sobą prawie żelazna, nadała mu hart, potrafił wywoływać wizye, lecz sam nigdy nie spojrzął obłędnie w ich łona. Wsłuchiwał się w cudzy jęk i spokojnie rozróżniał w nim płomień, które kolejno gasły w lampie krzyżowanej przez niego duszy.

Równocześnie wzrosła w nim do potęgi nienawiść do wszystkiego, co twórcze, rodzajne i powstające myślą skryształizowaną w formie.

Zapraǳał niszczyć nie ogień rozświelający mroki, lecz samo naczynie, które ten ogień rozniecić jest w stanie.

I zwrócił się ku najzdolniejszym, najbardziej twórczym, ku tym, którzy najwięcej po sobie pozostawić mogą.

Przez lat cztery snuł się po zaplutyh śliną knajpach, po redakcyach, po lupanarach i zbierał tam kwiat, padający chwilowo w błotnistą maź, kwiat królewski, pełen woni i wielkich myśli.

I teraz czeka tak na moście, aż się spełni jedno jeszcze jego dzieło, aż tam w lesie „on“ stanie się czynem woli, którą spełtał i swoją uczynił.

Narbutt oderwał się od grupy zbitej przy biurku i niespokojnie wpatrzył się w jasny punkt migocącego w oddali telefonu.

Pod czaszką miał łód, lecz już tajało w nim niewyraźną chęcią twórczą, która była niejako środkiem jego subiektywnego talentu. Czerpać chciał ze swej głębin i rozsypywać całemi snopami iskier to, co w nim gorzało.

— Pisać chcę, malować...

Wzrok jego zaczął błędzić i nagle ogarnął siedzącego na oknie Leliana.

Przyszło mu na myśl, że ten człowiek przedstawia niezupełną Duszę ludzką.

Intellekt, smak artystyczny—tak.

Brakuje trzeciej potęgi.

Moralnego zmysłu.

Narbutt zwrócił się ku Lelianowi i podrażniony, z pod brwi rzucił mu prosto w twarz.

— Nie, nie masz go.

Lelian drwiąco uśmiechnął się.

— Czego?

— Moralnego zmysłu.

— Oh! oh!... wystarcza mi to, co wymienileś...—

a potem—zkaąd ci to przyszło?

Narbutt chciał odpowiedzieć:

— Ta śmierć, to złagodzenie pod wpływem tej suggestyi.

Lecz Lelian przerwał mu niecierpliwie:

— Stworzyłem dzieło.

— Ty, zniszczyłeś je.

— Stworzyłem prawdziwie piękne dzieło. Nie jest ono uchwytnie, ani konkretne. Będzie żyło w tobie, w nich, w świecie całym. Dziś tysiąc mózgów zadrga prawdziwie pięknym nastrojem, gdy myśl o tej śmierci przeniknie dokoła. Żadne ułożenie najpiękniejszych środków, któremi ludzie posługują się do wytwarzania swych „arcydzieł“ nie da tego dreszczu i następnie tego szeregu wrażeń, jakie ja wołam swoją w ruch wprowadziłem...

Narbutt słuchał, mimowoli ogarnięty jakąś melancholią.

— *Moral sense!*...—powtarzał machinalnie.

— Żujesz, żujesz bezużyteczne słowa!

— *Moral sense!*...

— Wypluj. Na nic się nie zda.

Banda skończyła pisanie nekrologu.

Rozpierzchła się powoli. Każdy chwycił zniszczony kapelusz, ten i ów podnosił kolnierz palta, aby ukryć zmięty, niezmienny od wczoraj kolnierz.

Lelian i Narbutt mierzyli się dziwnie wzrokiem.

— Chodź z nami! — wymówił wreszcie Lelian.

— Nie, pozostanę.

— Co będziesz robił?

— Pisać chcę!

Lelian zaśmiał się prześlicznym, chromatycznym uśmiechem.

— Może znów artykuł taki, jak wczoraj?

Narbutt pozostał bezbronny, tak go ten śmiech wysmagał bezlitośnie.

— Gdyby...—próbował jakby nabrać siły.

— Co tobie do tego? co tobie do tego, bajazzo?

— Ma rację. Zagadkę natury ludzkiej chcesz koniecznie wykopac w symetrycznie ułożonej kupie gnoju. Zostaw to... *La tristesse de tout cela...* i twojego marnego życia razem.

Umilkł i z pod przysłoniętych rzęs patrząc prosto w twarz Narbutta, dodał:

— Ach! czemuż nie chcesz odczuć potęgi prawdziwej jednego wielkiego gestu!...

W oczy Narbutta, w ich głąb wpadło coś niepojętego. Dwie strzały, które odbiły się aż w mózgu i ztamtąd przemknęły po całym organizmie. Uczul równocześnie jakiś niewytłómaczony brak równowagi, jakby nagle znalezienie się na powierzchni oceanu, który nim miotać zaczynał w przestrzeni przepojonej groźnemi, strasznemi przecuciami i trwogą.

— Nie nie... — odparł, siadając przy biurku — pozostanę. Chcę pisać. Chciałbym rozebrać dzieło Maurycego Denis. Muszę nasze społeczeństwo zmusić, aby przeżyło przyczynę i rezultat tego rodzaju twórczości.

Lelian stał teraz obok biurka.

Laską kręcił młynka.

Szafirowe oczy marzyły.

— I co ci z tego przyjdzie? Wygdaczesz się, zamiast poić swą duszę pięknosciami dróg przez siebie odkrytych... A potem, czy sądzisz, że na nich to zrobi wrażenie, że fala twojej myśli poruszy w nich fale ich myśli... I *enfin* co ci z tego przyjdzie?...

Narbutt usiłował wzruszyć ramionami.

— Pomyśl, i tak cię czeka... śmierć!

Padło to słowo tuż nad głową Narbutta. ciche i straszne.

— Tak, tak. Zamkną cię czy prędzej, czy później w pudełku blaszanym, jak sardynkę i zaklepią łopatami. Hu! hu... *requiem aeternam...* Ksiądz zakatrzony, szum cementarnych brzoź, cylindry świeżo odprasowane na pogrzeb i napiwki grabarzom, którzy zwałą na ciebie parę tysięcy kilo gliny, ażebyś się czasem ciałem z pod niej nie wydostał. A potem maż, ciecz lepka... to ty... kości trochę... co?

Lelian uderzył laską po nagromadzonych na biurku skryptach.

— A to? a to? ma cię to obronić może? ma to po tobie pozostać? Po co? aby inni kradli kombinacje twoich myśli i później sprzedawali za swoje?

Narbutt już mięczał, dwiema rękami splecionymi oczy zakrył.

— Nierozumiesz mnie...—odrzucił wreszcie—ja inaczej patrzę na artystyczną twórczość!

— Mało interesujące...—zaśmiał się Lelian—objawy niedołężne poprostu i somnambuliczne. Wszystko mrzonki, któremi w szpitalach miłosierne dozorcynie wypełniają chorym przed operacją bezsenne noce...

Narbutt nie odpowiadał nic.

Od kilku chwil zaczynał doznawać wrażenia, jakby w tym chaosie, w który wpadł, jakaś jaźń przebijała się ku niemu przez mgławicę, w którą zapadał.

Jaźń ta miała formę kobiety i od niej wybiegał ciepły promień, który powoli przybierał kształt przyjacielskiej, ukochanej dłoni.

Wyczuwał Ankę po za ścianą pokoju.

Dusza jego nagle przywoływać ją zaczęła.

I jaźń przybierała coraz więcej jej kobiecej kształt. Oczy z onyksów już płonąć zaczęły!

Ciepło i harmonia ogarniała i promieniała wprost ku niemu.

Uczuł swą młodość i życie rozlewne i mogące ująć się w kształty.

Nagle na jego ramieniu zaciężyła dłoń.

Nie zaciężyła, ale musnęła raczej, jak skrzydło mistycznego Ra o świętych, nieprzeniknionych Tajniach.

Niemniej przywarła się raną żrącą do całej istoty, do wszystkich jej części tak fizycznych, jak i duchowych.

Lelian położył rękę na ramieniu Narcyza.

I tym jednym gestem wziął go pod władzę swoją.

Szafirowe oczy wpily się w kark schylony, kark neurastenika.

Oczy te sondowały siłę woli i odporności swej nowej ofiary.

Cicho, bez gwaru wysuwali się jeden po drugim towarzysze Narbutta i Leliana.

Pozostały po nich obłoki dymu i niepokój, jaki zawsze ich owiewał, niepokój i melancholia bezgwiazdzistych nocy.

Narbutt uczuł straszną, bezbrzeżną rozpacz.

Zdawało mu się, iż kat piętnuje go w tej chwili rozpalonem żelazem, aby powieść go na stracenie.

Całą resztkę zanikającej woli zebrał i rzucił ją w kierunku przeświecającego ku niemu kobiecego zjawiska.

Dobra, kochana ręka, wyciągnięta i promieniąca w oddali

I nagle ta ręka zbliża się coraz więcej.

Narbutt powstaje niemal na jej nadejście.

Wrywa się z piętna i z tamtej dłoni muskająca jego ramię.

Na progu pokoju zabielało.

W ramie drzwi stoi Anka.

Rękę ma wyciągniętą w kierunku Narbutta.

Kształt jej ma tę samą formę, jaką miało przed chwilą ujrane przez Narbutta zjawisko.

Stopiło się z niem w jedno.

I płynie od niej wielki, spokojny prąd życia, równo rozdzielonego i wyczutego.

Idzie cicha i ogromnie kobieca ku tym dwom, pomiędzy którymi wiąże tragiczny węzeł niewidzialne widmo śmierci.

I gdy się zbliżyła tak, że dłoń jej spoczęła w dłoni Narbutta, spoczęła pierwsza świeża i wonna w dłoni spalonej gorączką nocy bezsennej — nastąpiło wielkie milczenie, takie, jakie się czuje przed nadejściem gromu, który ma wszystko zniszczyć lub rozwiać się w powietrzu.

Anka nie mówi nic.

Patrzy w oczy Narbutta swym głębokim wzrokiem.

Nie słyszała nic ze słów Leliana, lecz ztamtąd, z oddali uczuła konieczny, nieprzeparty mus pójścia ku Narbuttowi.

Zdawało się jej, że słyszy cichy jęk, wołanie o pomoc, że całą przestrzeń wypełniają dzwony, bijące na trwogę.

I wśród huku tych dzwonów wyczuwa Anka jeszcze syk węża, który tryumfalnie, królewsko bierze kogoś w posiadanie, pelza po kimś, piętnuje jadem.

Anka czuje, że ten ktoś jej blizki, jej konieczny, że ten ktoś dominuje nad nią i ma władzę przewodnią i czuje równocześnie, iż ten ktoś może zginąć. Doznaje uczucia ratowania drogowskazu, bez którego zabłądzi wśród czerni życiowej puszczy.

Jest więc w tem linia egoistyczna, motyw działania silny i jej własny. Tego jednak Anka na razie nie czuje, idzie i staje przed Narbuttem biała

i piękna, jak kwiat, nagle na straży ręką anioła w górę wzniesiony.

Lelian obrzuca tę postać, nadeszłą zda się po smudze eteru, spojrzeniem prawie zdziwionem.

Przeczuć jej nie mógł, bo jego część duchowa miała granice przeczuć zjawiskowych, po za które nie sięgała.

Skoncentrowana i zaostrzona w pewnym punkcie, szła bez przeszkód, mających harmonię potęgi Najwyższej w formie Kobiety—Ducha.

Po raz pierwszy Lelian staje przed takim wykwitem istoty ludzkiej i natychmiast on, Duch-Destructor, odczuwa w nim Ducha-Twórcę.

I następuje wielka, niespodziewana chwila.

W milczeniu zupełnem ściera się potęga Zniszczenia z potęgą Twórczą, walcząc siłą ducha, bez słów, bez gestów i tylko niewidzialne skrzydła spotykają się w przestrzeni i chrzęszczą złowrogo w smugach eteru.

Zniszczenie!

Ryt!

Zrenice onyksowe Anki, dwie czary pełne lito-snej Piękności, rozlewające siłę życia, biorące w siebie smutek po to, aby go wychłonać, wonią, Pięknem, melancholią wielkiego czaru, umozębniającego istnienie!

I stalowe szafiry ócz Leliana, ich beznadziejna niemożliwość zgody z życiem, to trucizna zalewająca wszelkie mrówcze objawy tymczasowej pracy, chłonięcie w siebie smutków życiowych po to, aby je wychłonać jako przeogromną rozpacz i nostalgię, spadającą lawiną na pochylone karki neurasteników.

O, te szafiry, te onyksy tych dwojga walczących w milczeniu, wśród smug eteru, w widmowej przestrzeni!

I Anka czuje, że słabnie, czuje, że skrzydła jej łamią się i zwisać zaczynają bezwładnie.

Nie wie dlaczego, ale że tak jest, ma pewność. Doznaje nagłego wyczerpania i uczucia nadzwyczajnego smutku i upokorzenia.

Lelian natomiast w tej niemej walce odczuwa ogromną swą moc i tryumfuje w apoteozie swej Sily.

Gdy ciągle milcząc wysuwa się po za drzwi redakcyi, jest spokojny, że dłoń Anki nie zmaże śladu dotknięcia, jakie ręką jego piętnem śmiertelnem wycisnęła na istocie Narbutta.

A dzieje się to jedynie dla braku największego czynnika, jaki Anka z sobą przynieść mogła.

Nie było w nadejściu jej Miłości ku Narbutto-wi, nie było Miłości kobiecej-duchowej, nie było Miłości człowieka-kochanki, nie było rozśpiewanego Hymnu poświęcenia i wkochania się w cierpienie i potrzebę ginącego.

Anka poszła linią egoizmu, chciała chronić tego, który był czynem jej Woli i zaczynała być pokonywaną przez siłę będącą Czynem czynu jej Woli.

Miłości nie było...

Przyszła w fałszywej szacie Samarytanki, w pozornej szacie strzegącego świątyni życia Anioła.

Pokonana została przez Demona, który szczerze swe motywy nienawidził rozklebioną w huragan ziejący ogniem—potęgą.

Nienawiść oślepiła blaskiem.

Miłości nie było...

W eterze unosiło się widmo egoistycznych celów...

I płynęło ze strony... kobiety!

Gdy Lelian wyszedł i Narbutt pozostał sam z Anką, mówili dużo i dobrze, komentowali artykuł o Stalewskim, naradzali się nad tem, co pisać dalej, aby w tym kierunku pchnąć tłumy i poddać im konieczność opamiętania się.

Lecz dziwna to była nuta, która w ich głosie drgała.

On spadał ciągle z tonu, jak aktor źle wyuczony, i potem chwytal się nerwowo widm pozornej już teraz dla niego konieczności pracy.

Ona kierowała ciągle rozmowę na wczorajszy teren, pragnąc pozbierać jeszcze i siłę i chęć, którą wczoraj, jak pochodnię przez niego rozświetloną, ze sobą uniosła.

Jakby w przeczuciu jakiejś śmiertelnej niemoicy, która go dotknąć miała, Anka chciała wessać się duszą w jego duszę i zebrać z niej miód i głębię.

Lecz coś przysłoniło przed nią duszę Narbutta. Może skrzydło Demona.

Ręka o smudze z eteru przeniknąć tej zapory nie mogła.

I powoli, w to słoneczne popołudnie pamiędzy tym dwojgiem nalatywać zaczął chłodny cień.

— Napiszę... zobaczy pan! — mówił Narbutt — sama pani się przerazi. Znajdę w sobie tyle mocy, że zdruzgocę te ich solidne i wygodne chlewiki o renesansowo-Chéretowskich kolumnkach, w których żyją, karmią się i tyją...

— Tak — mówi Anka — to konieczne. — Gdybyś pan wiedział, jak to, coś pan napisał, oddziało.

— Na kogo? na tłum?

— Nie, na nich samych, na Stalewskiego na przykład.

Narbutt wzruszył ramionami.

— Co mnie obchodzi to nadkołtuńskie plemie? Zczecznać powinno zawalone kolumnami chlewików...

— A jednak... jeżeli on...

— Co? co?

— Jeżeli i on zrozumie.

— Nie, to niemożliwe. Taki on nie zrozumie. Obrósł błotem, sam się dobrowolnie oblepił i w tej skorupie zgnił.

— Wczoraj pan kazał mi patrzeć w duszę ludzką i jeśli dojrzę w niej ślad, iskrę czystszej, nie zostawiać na pastwę wichru, lecz... czynić coś dla niej...

Narbutt spojrzal na nią uważnie.

— Dostrzegłaś co w duszy Stalewskiego?

Dziwne wzruszenie ogarnęło Ankę.

Zdawało się jej, że ma wydać tajemnicę, która do tej chwili była tylko jej drogocenną własnością.

— Może!... — odparła wymijająco.

Lecz on z niedowierzaniem znów wzruszył ramionami.

— Złudzenie! chwilowe złudzenie! Zwrócić się do innych. Tego zostaw, bo jest samą zgnilizną i próchnem.

Anka chciała zaprzeczyć, ale jakieś uczucie nadzwyczaj delikatnego wstydu przejęło ją całą.

Miała wrażenie, jakby ją ktoś boleśnie dotknął w jej głębokim wierzeniu i przekonaniu, które bezwiednie rozrosło się na dnie jej duszy.

Dlaczego ma opuścić Stalewskiego? dlaczego jego właśnie?

Myśli o tamtym, biegnie za nim duszą po rozłogach i polach, na które mu iść kazała po to, aby wniknął w siebie i w swoje czyny.

Doznaje dziwnej rozkoszy w tem gonieniu myślowem duszy Jana. Wyczuwa, jak drży ta dusza, jak się przeraża, dziwi i omdlewa z bólu i upokorzenia.

Nie, nie oderwie się od niego myślą.

Ta dusza jest i walka jej dowodem właśnie najczystszym jej istnienia.

Odbiegła myślą od Narbutta i pograżyła się w tej nieznannej dla siebie ekstazie.

Nie widzi, że Narbutt w tej chwili zmienionym, osłupiałym wzrokiem patrzy przed siebie.

Po czole spływają mu krople potu, ręka z piórem beczynnie leży na wzgardliwie porozrzucanych skryptowych świstkach.

Pochylił głowę tak nisko, iż zdawać się może, że jakiś wampir spadł mu na kark i żre, a on kurczy się pod tym bólem, od którego oswobodzić się nie może.

Kły wampira zapuszczają się daleko, przeniknęły nawskroś jego duszę i serce...

Zwątpienie, rozpacz wlewają się cienką, żrącą strugą w całą istotę Narbutta.

I gdy Anka radośnie wita nową, nieznaną ekstazę, dającą jej najsilniejszy bodziec do życia i stającą się treścią jej istnienia, obok niej Narbutt zapada w ciemnię lodową, beznadziejną, beztreściwą — on, który jest Czynem jej woli.

Taki jest — stan ich duszy.

XVI.

Do okna redakcyi zagląda ciągle jakaś jasnowłosa głowa.

Parter wysoki, więc tylko widać głowę, włosy i siwe oczy.

Ręka jakaś przyłgnęła do ramy, palce czerwone, tepe, od ługu spękane.

Anka, która teraz już sama czeka ciągle na

ojca, zanurzonego w konferencyi z Wierciakiem, patrzy w to okno.

Narbutt odszedł, a raczej wybiegł, nie pożegnawszy się z nią prawie.

Powstał nagle od biurka, rozrzucił papiery i nerwowo porwawszy za kapelusz, rzucił się ku drzwiom,

Gdy go nie było, opamiętała się Anka, że egoizmem zacerpnęła z niego wiele, nie zwróciwszy mu nic w zamian.

Lecz była to krótka, przelotna chwila.

Pograżenie w pewnem podnieceniu dziwnem tłómaczyło jej tę przelotność myśli, zwracającej się do źródła, z kąd na nią przyszła fala, umożliwiająca drganie tej przedziwnej struny na harfie jej duszy.

Zdawało się jej, że spłaci należycie daninę swoją, idąc nakreśloną przez drogowskaz drogą.

Cała wpiła się w myśl o Stalewskim.

Co robi, co myśli w tej chwili?

Przed ramą okna znów zamajaczyła głowa kobiety.

Wzrok Anki padł na tę twarz niespokojną i jakby nerwami zjedzoną.

W jednej chwili stanęła przed nią ciemnia oparem białym, mglisto rozświecona, a w niej ta głowa unosząca się i zwoje długich rąk, konwulsyjnie w górę wyciągniętych.

A potem ochryple, zmieszane głosy, przebijające się tępym dźwiękiem przez tumany pary.

Wierciak.

Piotruśka.

Podległa niewolnica namiętności swego ciała i przewodze mężczyzny.

Ta mgła, z po za której widać było rozpaczliwe wychyłanie się głowy, tworzyła rodzaj społecznego odgrodzenia Piotruśki od światła i wolnego oddechu.

Suterynowy opar nędzy, zmieszany z rozpaczliwym technieniem zgorączkowanych pragnień rozkoszy, jako zadośćuczynienia za wydziedziczenie paryasowe od biesiadnych stolów życia.

I te dwie ręce wyciągnięte, jakby po ratunek w topieli, na skraju obrywu, na którym już krzaki nie rosną nawet, tak wiele waliło się ciał w przepaść starganych rozpoczętą lekkomyślnie, a pozostawioną wpół drogi robotą uspołeczniania!

Te dwie ręce!

Do mnie!—wołają—tonę!

Istota ludzka. Esencja proletariatu miasta, przepojona jego zgnilizną, nienawidząca, że szafir nieba wyiskrza się gwiazdami nad czarownym bezkresem równin, a ziola leśne mają woń, jakby wianą z angielskich szat, z angielskich rąk.

Piotruśka.

Zapadła pierś, wypukłe plecy, poddane podrazy, usta ziejące przekleństwem, lub szukające drogich ust, szmata na biodrach przeznaczonych do smutnego poczęcia w chwili bezdennej szału, graniczącego z rozpaczą istot, które niczego spodziewać się na świecie nie mają prawa.

Anka patrzy na Piotruśkę i wykwita w niej — malarka

Harmonia zamglonej postaci *à la Raffaelli*. Coś się przebija mętnego, straszego, coś fatalnego, szaro-żółty ton dominuje. Lachman i szyja o szarości jednokiej, a potem te dwie ręce z koła mgły. Dalej oczy duże, a prawie błędne. Kilka plam, linii rozplywających się nędznie.

Piotruśka!

Moralny zanik godności ludzkiej, sponiewieranie szalowe, rozplynięcie się w tajemniczych pragnieniach przedmogilnych...

Piotruśka!

Anka ma już tę wizję duszy i pragnie ją unieść z sobą w ściany swej pracowni, aby tam uwięzić ją w całej seryi syntez, które jej świat stanowią.

Lecz danina, jaką chce zapłacić Narbuttowi, zaczyna domagać się pewnej linii w postępowaniu Anki.

Czy wystarczy wyczuć jej duszę i unieść ją ze sobą promieniem lekkim i ledwie wyczuwalnym po to, aby z niej odtworzyć rodzaj cmentarnego pomnika na smutnym rozlogu szarości życia?...

Anka rozumie dno duszy Piotruśki, człowiekiem-kobietą połączyła się kontaktem przedziwnym z drugim człowiekiem-kobietą. Czystością swego ciała odczula, w czem tonie ta druga. Wysoka dumą i miłość jej dla swej wartości, cierpieniem odzywa się echem w sponiewieraniu tamtej Smutnej. I czuje, że powinna podejść ku tym wyciągniętym boleśnie rękoma, które zdają się grozić, lecz błagać zarazem, czy niema już dla nich ratunku.

Artystyczna strona jej duszy kloni się i pada w pokorze przed tą stroną, która powstaje w Majestacie wielkiej miłości i z wyciągniętymi dłońmi wchodzi w mgłę osłaniającą nędzę tamtej kobiety.

Anka powoli zbliża się do okna.

— Kogo... pani szuka?

Mglista postać Piotruśki przez chwilę niknie i powraca nieufnie, wyglądając z po ramy okna.

— Czy pana Wierciaka?

Piotruśka z pod rozwianych włosów patrzy nieufnie na Ankę.

I nagle rzuca:

— To pani była u nas wczoraj, co?

— Ja.

Milczenie.

— Pani przyszła po niego?

— Tak...

I zaraz potem podejrzliwie:

— A bo co? czy mi to nie wolno?

Anka nie odpowiada wprost, lecz aż dławi ją chęć odnalezienia drogi, po której do tej duszy trafić można.

Czuje, iż najprostszą jest droga namiętności, lecz waha się wstąpić na nią — ona tak wyniosła i czysta.

— Owszem, wolno... nawet i słusznie.

— Pewnie, że słusznie. On mój, a ja jego, a tacy, co o tem nie wiedzą, to niech się dowiedzą...

Aż wieje żarem od miłości ekskluzywnej i ślepej.

Anka pochyła się przez ramę okna.

Wzrok jej pada na rozorane literalnie pazurami ucho i szyję Piotruśki.

Rana świeża, skleją ją się na niej włosy płowe, połowa jej ginie półkonierzykiem bluzki farbowanej widocznie aniliną.

Anka czuje całą nędzę fizyczną sponiewieranego ciała kobiecego.

— Pani jest zraniona, pani powinna się dać opatrzyć.

Czerwony rumieniec oblewa twarz Piotruśki.

— To nic — mówi, charakterystycznym ruchem wsuwając szyję w głąb kołnierzyka — to przyschnie...

I zaraz dodaje, zdjęta wstydem:

— To kot, psia wiara, tak mnie uszlachcił...

Anka nastaje.

— Trzeba obmyć, oczyścić, paznogie były nie czyste, może nastąpić zakażenie...

Oczy Piotruśki otwierają się szeroko.

— A no... a no... — mówi bez żadnej wyraźnej intonacji w głosie.

— A to śmiertelne... — dorzuca Anka.

— A no... a no...

Jakby obojętność, lecz zarazem trwoga.

Anka patrzy prosto w mgławicę twarzy Piotruśki.

— Pani się śmierci nie boi?

Anka formuluje to pytanie, a przecież coś w niej budzi się niespokojnego. Lęka się odpowiedzi, jaką usłyszy.

Prymitywny to duch kolysze się przed nią na tle zieleni skweru, prymitywny, ukryty w czeluści ziemi, żywiołowy i nieokielznany od namiętności zmysłowej, bujno wytwórczy, ledwie potargany drobiazgową szpetotą pół-cywilizacyjnych zdobyczy.

Aż bije z tego mętu mgławego od miłości przeolbrzymiej i chłonącej w siebie istność tej kobiety.

I ona za chwilę ma zawyrokować, czy boi się zagłady swego ciała, które ma być „kresem” jej przeznaczenia.

Pada wreszcie odpowiedź.

— Owa! śmierć... ta co to wielkiego?

Lyczakowski akcent podrogatkowej ulicznicy i taki wielki, precudny Nielek tego, przed czem drżą mędrce świata!

Lecz Anka zapuszcza dalej sondę.

— A pana Wierciaka pani nie żal?

— Owa! jakbym miała umierać, przedtem jemu śmierć zrobię...

— Do czego to panią doprowadzi?

— Pochowają nas razem.

Zamąciła się dokola Piotruśki mgła. Głos jej zmiękł, nie tak chrapliwie leci w przestrzeń. Miękkie kontury zaczynają rysować linie rąk, ramion, szyi

Tylko głowa jeszcze harda i ciągle wyczekująca.

— Skoro pani umrze, powinno pani być przecież jedno — mówi Anka powoli, ciągle pełna niepokoju.

— Nie — odpowiada Piotruśka — bo jak będziemy w jednym grobie, to razem nas robaki zjedzą i razem w trawę wyrośniemy. Pani nie wie? Z tru-

pów przecie jest trawa, a bo jakie co, może nawet jaki kwiatek... A jakże.

Sentyment, będący podstawą naszego ducha, tęsknota za czemś wonnem i pięknem, czem nam tu być nie sędzono—wszystko jest w tych słowach Piotruśki.

Anka pochyła się ku niej.

Niema już bojaźni, ani niepokoju.

Czuje, że w tej mgławicy, rozpasanej krzykami siły Wytwórczej, na dnie tkwi szalony Ból powrócenia do Jedności Istoty ludzkiej, w której zatracają się różnice płci, walczących wiecznie z sobą, a pozostaje ta wielka, wielka, wspaniała, czysta Jedność, spokojna bezbrzeżnie i doskonała.

Zajrzała w duszę Piotruśki i z tej głębi kilkoma słowy, wydostała najdoskonalszy kryształ, grający promieniami w jej duszy odbitemi.

Spojrzenie jej padło na biurko, przy którym przed chwilą siedział Narbutt.

Cała myśl jego przeniknęła ją prądem silnym i niezwalczonym.

— Czy wszystko już uczyniłam, co uczynić powinnam?—obrachowała się nagle Anka z surowością najwyższą.

— Z mgławicy, w której objawia się Piotruśka, wydobyłam ów kryształ, lecz czy postarałam się, aby i ona odczuła jasność jego promieni? Rozkoszuję się nim sama, zużywam jej własność, nie wypuszczając ją do tego, co mnie w stan lepszy wprowadza. Zadaniem mojem, skoro zostało mi dane wniknąć w głąb tej duszy, ułatwić jej samej pozna-

nie dokładne piękności rozświetlającego mroki i pełnego nadziei sentymentu.

Instynktem Anka trafia na właściwą drogę.

— Kto wie, jak będzie—mówi, patrząc w mętne zrenie Piotruśki — kto wie, czy was razem pochowają?

— Biedaki jesteśmy, to nas wrzucem do jednego dołu.

— Nie zawsze. Zabójczyni nie chowa się nigdy z jej ofiarą...

— A no, a no...

I znów milczenie. W oddali turkocze dorożka.

— Lepiej pójść za mną i dać się opatrzyć — mówi wolno Anka.

Piotruśka odsuwa się od okna.

— E... bo mnie pani jeszcze gdzie zawiedzie i jeszcze mnie pani sprzedaje.

Jest to tak potworne, iż pada u stóp Anki, jak złamana w powietrzu strzała.

— Nie — mówi Anka łagodnie, a nawet na jej usta uśmiech wykwitła — nie, Piotrusiu, ja ci chcę dopomóc żyć, skoro masz jeszcze żyć, biedoto!

— A jaka to będzie ta pomoc?

— Zobaczysz...

— Pani mi da jaką robotę?... Tylko, że ja nie na wiele jestem zdatna... Tak się rozpróżniaczyłam przy Wierciaku. Teraz to mu dobrze — wybory... pani wie...—Urwała, obejrzała się dokoła, jakby lękając się, że powiedziała zawiele.

Lecz już widocznie pomiędzy nią i Anką wytworzył się jakiś prąd silny i wiążący, bo sama teraz przypadła do okna i zapytała:

— No... to gdzie mamy iść?

I Anka znów doznała uczucia trwogi, jak wtedy, gdy Stalewski garnąc się do niej zaczął. Czy podola? czy wie sama, gdzie tę mgławicę rozpaczną zawieść powinna?

W pokoju, gdzie Zagrodzki szeptał z Wiercia-
kiem, zrobiło się naraz gwarniej i zaraz potem ci-
che, a ciężkie kroki przesuwały się przez redakcyę.
To Wierciak odchodził, rzucając dokoła siebie oble-
śne, niepewne spojrzenia.

Szybko Anka pomknęła ku ojcu.

Siedział z głową wtłoczoną w ręce, cała postać
wskazywała szalone znużenie i wyczerpanie naj-
wyższe.

Chwilę Anka z bólem całej swej istoty ogarnęła
tę postać tak odzianą dostatnio, a tak nędzną
w walce ze swą pychą i z demonem ambicyi poli-
tycznej.

I znów przesunął się przed nią obraz siewcy
w szarzynie życia i odzieży, siewcy wyczerpanego
rozzucaniem na wicher bezplenny ciężko zebranego
ziarna.

Dokoła unosiły się miazmaty, tłoczące pierś
zgnilizną odzienia Wiercia.

Przeszedł jak widmo cuchnące, zakażając po-
wietrze i wyczerpując siły inteligentnego człowieka.

— Ojcie!—wymówiła cicho Anka, dotykając ra-
mienia Zagrodzkiego.

Drgnął cały, lecz twarzy od rąk nie oderwał.
Przeciwnie zacisnął długie, rasowe palce do-
koła skroni.

— Co to?... czego?...

— To ja... Anka!

Zawsze jedno.

Wieczny nerwowy przestach, a potem obłędne
wejrzenie szeroko otwartych oczów, na których trze-
począ się boleśnie skrzydła zaczerwienionych powiek.

— Czego chcesz?

— Chciałam cię prosić, ojczu, ażebyś wydał roz-
porządzenie...

— Notatka Stalewskiej? dobrze, połóż, pójdzie...

Cały był myślą gdzieindziej.

— Nie, nie, przeciwnie. Jeżeli Stalewska przy-
niesie jaką reklamę, nie każ jej umieszczać.

— Ach tak!... dobrze, dobrze.

Nie pytał o nic, widocznie pochłonięty jakąś
troską wyborezą.

Drżącą ręką szukał arkusza papieru.

— Idź już, mam pisać coś ważnego.

Lecz Anka nie odchodziła. Wpatrzona w twarz
ojca, nerwowo odczuwała ten straszny niepokój, który
nim szarpał.

— Ojczu!... ty się zabijesz.

Powiedziała to cicho, szeptem prawie, ale on
dosłyszał, pochwyił.

— Czemu? czemu?...

Chciała odpowiedzieć „własną ambicyą“, lecz
szablon wychowania zdławił jej słowa.

Wskazała mu tylko na całe stosy politycznych
artykułów, wyznań wiary kontrkandydatów, nawoły-
wań dzienników, za swymi „faworytami“ na te Der-
by nędzne, a w gruncie rzeczy tak mało pożytku
istotnego dla kraju przynoszące.

— Tem—to cię zje, zabije...

Gestem wielkopańskim zaznaczył niedbale, iż
przyjmuje wszystko, nawet to najgorsze.

— Trudno...

I tu Anka potknęła się o wspaniały Niełek
śmierci.

— Gardzą nią wszyscy... — pomyślała prawie
prerażona.

— A potem ona się mści—jakieś echo zajękło
w powietrzu i przygarnęło się ku Ance rozwiewnie,
a groźnie.

XVII.

Oparta o ścianę, pozwoliła Piotrusia opatrzyć
Ance swą skrwawioną twarz, szyję, ręce.

Delikatnie, spokojnie, obmywała Anka różanym rozcynem sublimatu czarne, głębokie bruzdy.

Zachodzące słońce słało się delikatnym kobiercem promieni pod stopy obu kobiet. Jak zwykle, szeroko otwarte okno pokoju Anki wpuszczało światło i chłód wieczorny.

Piotruśka pozwalała opatrywać się jak pies wdzięczny, a cierpieniem znużony. Oczami snuła się dokoła ścian jasnych, biało zasłanego łóżka, nad którym na białej wstążce zwieszała się gałąź głogu.

Ogromny krucyfiks rzeźbiony, zdjęty z trumny jakiegoś mnicha, czerniał na ścianie.

Piotruśka wzrokiem do krzyża przylgnęła i tak przy nim została.

Anka obejmowała ją całą litością swoją bezmierną. Czula, iż zaczyna kochać tę prymitywną kobietę o narzuconej błotnej warstwie, jak kochała płótno świeże, na którym malować miała wypieszczony w duszy obraz. Piotruśka w świeżości skóry i zarysie drobnej bródki miała w sobie wdzięk dziecięcy. W Ance obudziła się myśl, kto dał życie tej dziewczynie, noszącej w głębi duszy ideał pośmiertnej łączności.

— Gdzie twoja matka Piotrusiu?

Gest niepewny, jakby coś się rozwiło w mgłę i potem śmiech, chichot prawie niewyraźny.

— Niewiem...

— Znałaś ją?

Piotruśka ramionami wzrusza.

— Tak... coś... pamiętam, ale nie bardzo.

I zaraz, nałogowa u takich dziewcząt, potrzeba opowiedzenia swej przeszłości.

— Bo ja byłam służącą i brałam już trzy guldeny, ale się natknęłam na Wierciaka i on mnie ze służby ściągnął i teraz z nim jestem.

— Dlaczego cię bije?

Z całą prostotą odpiera Piotruśka:

— Bo już tak...

— Dlaczego mu na to pozwalasz?

— A cóż, bić się z nim będę? Jeszczeby mnie zabił. Wolę już tylko krzyczeć... Czasem się wystraszy i da spokój.

Anka skończyła opatrunek, lecz nie zdejmuje ręki z ramienia dziewczyny.

— Nie tak, Piotruśko, nie tak — mówi — trzeba, żeby Wierciak zrozumiał, że i ty jesteś człowiek i że tobą poniewierać nie można...

— Wierciak mówi, że ja nie człowiek, tylko baba. Śmieje się całą pełnią zębów i dziąseł anemicznych, żółtawych.

— A potem — dodaje — i w pańskim stanie biją się. Co? może nie?

— Nie, Piotruśko, kobiety każą się szanować mężczyznom.

— Owa! jak święte obrazki.

— Tak. I widzisz, wtedy i mężczyzna powoli wstydi się tego, iż jest zły i staje się lepszy. Powoli, nie zaraz, ale zawsze tak bywa...

— E! gadanie!

— Tak jednak jest, Piotruśko... Pomyśl tylko, gdy wejdiesz do cichego, pięknego kościoła, to zaraz jesteś inna. Nie zrobiłabyś tam nic, co jest złe, albo grzeszne. Powiedz, uderzyłabyś kogo w kościele?

— Ma się wi, że nie, ale to kościół.

— Takim kościołem możesz i ty być, Piotruśko, cichym i zmuszającym Wierciaka do szacunku.

Piotruśka zamyka na chwilę oczy, jakby chciała wejść w siebie, zrozumieć dobrze, to co słyzy.

— Ale kościół, to poświęcane.

— Ciebie także Bóg poświęcił, gdy cię stworzył na obraz i podobieństwo swoje i ducha swego w ciebie tchnął.

Instykt Anki przedziwnie kieruje jej słowami. W Piotruśce budzą się i kojarzą reminiscencye

w przelocie zasłyszanych katechizmów, monotony głos sióstr zakonnych, prowadzących ospale spowite w ciemnię sierocych sukienek dziewczęta i ten Bóg Stworzyciel, jego dech gorący, rozwiany pośród ludzi...

Zapada milczenie.

Od pół, od łąk nabrzeżnych ciągną białe mgły. Żłoto, żyta nieruchome, zanurzają w sobie mleczne wstęgi. Anka przed Piotruską, jak przed księgą, stoi zadumana i wpatrzona. Chciałaby przeniknąć wypukłe czoło, przecięte pasmem lnianych włosów, i wiedzieć, czy słowa jej drgają choć słabem echem i płyną ztamtąd w głąb duszy...

I nagle zaczyna znów Piotruśka:

— Bo pani nie wie...

Urywa, lecz tylko na chwilę.

— Bo pani nie wie, że Wierciak to mnie często umyślnie zbije, żeby się potem ze mną godzić. On bardzo lubi, jak ja płaczę...

Deprawacya Leliana, przeniesiona w głąb sute-ryny. Rozkoszowanie się czyjąś męką powolne i subtelne...

Anka za czysta, za piękna, aby to zrozumieć była w stanie.

— Tak być nie może, Piotruśko. Tobie się tylko tak zdaje. Spróbuj, zobaczysz, że ja mam słuszność. Bądź dla Wierciaka takim kościołem. Oboje będziecie lepsi.

Ze smutkiem pada z ust wydziedziczonej tych kilka marnych słów, które są same przez się całą tragedją:

— Kiedy ja jemu nieślubna.

I zaraz dodaje, jakby chcąc zatrzeć to biedne, hańbiące wrażenie:

— Powiedział, że po wyborach...

W Ance aż kłębi się od rozlicznych wrażeń.

Te krótkie słowa sprowadzają do jej duszy tyle wspomnień z tego, co zwą „pożyciem“ usankcyonowaniem, prawem, że powstaje w jej umyśle chaos. Gdzie właściwa prawda!..

Czuje jednak, że tej drugiej, tej właśnie nieślubnej odpowiedzieć musi, aby nie przerwać nici, która zaczyna się tkąć brylantami serdecznych drgnięć.

— Właśnie dlatego, Piotruśko, tembardziej szanować cię powinien.

— Jakże to?

— Powinnaś go zmusić swoim postępowaniem, ażeby cię uważał za coś jeszcze świętszego, niż za swoją żonę, a gdy on tak myśleć o tobie zawsze będzie, to i do ołtarza pójdzieszie...

Bruzda przecina czoło Piotruśki.

— Pani tak myśli?

— Tak, Piotruśko.

Anka odstępuje od dziewczyny i z nalogu zbliża się do świeżo naciągniętego na blejtram płótna. Światło przedzachodnie, złotawe, łagodne rozlewa się cudowną jasnością dokoła. Ręka Anki błądzi, natrafia na węgiel.

Piotruśka już za nią ciągnie, jak cień.

Stała koło stalug i patrzy na porozstawiane dokoła ścian płótna.

— Jakie to ludzie! — mówi, patrząc mgławo — to nie jak ludzie, ale jakby duchy, czy co...

W Ance aż serce mocniej bić zaczyna.

— Jakby duchy!

Syntezy dusz tych istot.

I rozumiał ją prymitywny duch przez warstwę błotną i ciemną.

— To ja tak widzę ludzi, Piotruśko.

— A no... a no...

Na kolana przypadła dziewczyna i tak ruchem prawie zwierzęcia popęzła ku obrazom.

— Takie dokoła nich widziadła, jak koło księżycy, albo jak słońce zapada... A każdy inny... Jeden ma smutne widziadło, inny wesole, a ten jak pajac, a ta jak w żalobie, a od tego aż złota jasność bije... A no... a no...

Odwróciła się w dziwnym skurczu całej swej istoty.

— A mnie jak pani widzi?

Lecz Anka jej nie odpowiedziała.

Od kilku chwil nerwowo kreśliła węglem kontury, teraz w szeregu szklaneczek z rozrobionymi farbami szukała zielonych, szarych tonów. Prędko, milcząco, w podnieceniu najwyższym wypełniała kontury szarawemi, zgnilemi tony. Całe płótno pokrywało się, jakby parą żółtawą, gęstą...

I z po za tej pary, jakby widmo zaczynała przebijając fatalna, smutna, chorobliwa głowa.

I jeszcze oprócz tej głowy, ręce, dwoje rąk rozpaczliwie wyciągniętych z po za mgły, błagających o ratunek...

Ciemnia, mgła, opar i te dwie ręce...

Piotruśka!

Cisza zaległa wielka.

Piotruśka siedziała skurczona na podłodze, jakby z bryły szarego kamienia wykuta.

Anka nie patrzyła na nią wcale.

Z siebie, z wrażeń swego ducha, czerpała wrażenie tamtego ducha.

A przecież coś musiało się wiązać w tej chwili pomiędzy temi dwiema duszami, bo gdyby Piotruśka poruszyła się nagle, luh zmieniła cudem nastrój, w jakim żyła — Anka uczułaby niemoc odtworzenia, jedynie opierając się na już wyczutyh z Piotruśki wrażeniach.

Przez okno płynęło chłodne powietrze, coraz chłodniejsze, przesycone jakąś liliową barwą, po której włóczyły się niepewne cienie.

Coś się wkradalo od pól, od łąk, zapadających w zadumę nową, przedwieczorny lęk, tęsknica, a razem radosne przecucie sennego, bezbolesnego ukojenia w ciemni...

Czyjeś kroki powolne slychać było w ogródku. Przesunęły się od furtki, znikły w głębi domu.

Wreszcie Anka położyła pędzle i usiadła na krzeselku. Miała czoło zroszone potem i była nadzwyczaj wyczerpaną. Zimno, które przenikało ją całą w chwili tworzenia swych wizyj, zmroziło ją dziś więcej niż kiedykolwiek.

Wydobycie tej rozpaczliwej istoty z fali i głębin mgły kosztowało ją tyle wysiłków, ileby przeszła ona sama, zapadając w tę zgnilą atmosferę, w której „tamta“ żyła.

Przez tę godzinę Anka przeżyła tragedję całej go życia Piotruśki.

Piotruśka również pobladła i okryła się potem. Siedziała skurczona, osowiała, niepewna.

Oddychała tak lekko, iż zdawało się, że nie oddycha wcale.

Wreszcie cicho przemówiła:

— Pani mnie narysowała.

Stalugi odwrócone były tak, że Piotruśka widzieć płótna nie mogła.

— Zkąd wiesz o tem? — zapytała Anka.

— Bo mi tak było, jakby ktoś ze mnie skórę ściągał i duszę wydzierał. Jak Boga Kocham! O niech pani patrzy, ażem się spocila...

Anka szeroko rozwartemi źrenicami wpatrzyła się w Piotruśkę.

— Tak ci było, Piotruśko? czułaś to? — zawołała prawie radośnie.

— Tak.

Cicho otwarły się drzwi pokoiku Anki.

Ktoś stanął w progu.

Lecz Anka nie dostrzegła, nie widziała nic.

Wpatrzona cała w Piotruskę, wsłuchana w to objawienie się troistej istoty ludzkiej, oddającej z siebie części swe składowe w wibracji cudownej po to, aby ona, jak harfa wyczuła i za pośrednictwem tego, co ludzie zwą sztuką, na jaw wydała — była Anka w tej chwili w tak wielkiej ekstazie radosnej, iż cała jej istota promieniała jasnością zewnętrzną.

Piotruska tymczasem przypelzała przed płótno i uklęka przed swym wizerunkiem, a oczy jej błękitne i spłowiałe, wpiły się w tamte oczy błękitne i spłowiałe.

— To... ja... — wyrzekła wreszcie — niby w tej parze, co psiakość się po naszej suterynie włóczy... A jakże...

Pokiwała głową.

— I tak czasem ręce wyciągam bez tę parę, bo mnie tak coś chyci, żeby choć powietrza innego nabrać, innych ludzi widzieć, żeby być inakszą... Tak mnie coś dusi, coś chyci...

Umilkła.

Zrenice jej powoli zaczęły wypełniać się łzami. Ręce tuliła do piersi i tak klęczała nieruchoma, wpatrzona w siebie, w syntezę swej istoty, którą po raz pierwszy widziała.

Zdawała się boleśnie modlić przed Tą osobą, ukrzyżowaną, rozpaczliwą, smutną—przed sobą Człowiekiem, sponiewieranym w najszczytniejszym uczuciu przepotężnej miłości—ona Kapłanka świątynna, obdarzona potęgą siły najwyższej, bo odtwarzania Twórczości, i tak nędzna, zapadła w mgłę, odgraniczona od zdobyczy ludzkich na polu umożliwienia egzystencji, lub wczucia się prymitywnego w Piękno natury i jej blasków przezczystych.

Anka chłonęła ją wzrokiem.

I chwilę rozróżniała je obie.

Tę, żywą, klęczącą, rozmodloną łzami, przed katafalkiem własnej Nędzy. I tę drugą, z zaświatów,

a przecież równie żywą, utkaną z esencji tych łez, zebraną z łkań i ze krwi spieczonych ran.

Aż powoli obie spłynęły w jedno.

Była tylko istota sama—Piotruska przesmutna i mglista.

W Ance drgał każdy atom i teraz odczuła, czym jest ta Siła, którą zowią ludzie... talentem.

Zrozumiała — i dusza jej mdlała z upojenia i trwogi!

Pomiędzy nią i Piotruską drgały rozpięte struny ich duchów.

Ona—Piotruska, silniejsza, wyciskała swą pieczęć na strunach Anki, grała sobą, swą duszą, ciałem, istotą astralną... Anka chłonęła, przefiltrowała ten całokształt przez siebie, przez swe ciało, duszę, istotę astralną i potem słała to wszystko w przestrzeń.

Tak pomiędzy Piotruską i Anką przepływał strumień eteru o sile jasności najwyższej.

I powoli postać mężczyzny, stojąca przy drzwiach nieruchoma i milcząca, oderwała się od ściany, jakby jakąś potęgą zmuszona i weszła cicho w ten strumień przejasny, w którym hymnem tryumfu rozświetlała się szerokoskrzydła i krystaliczna Prawda i Przyczyna tego kwiatu duchowych objawień, które ludzie sztuką nazywają.

XVIII.

Anka doznała uczucia, jakby to wpłynięcie obcego nie było ani bolesne, ani natrętne, lecz prawie konieczne i z góry przeznaczone.

Przeniosła swój wzrok z Piotruśki na Stalewskiego, lecz równocześnie zdawało się jej, że widzi ich oboje. Ją przez jego postać, bo dziwnie nie cielesnym, nie ludzkim wydał się jej w tej chwili ten człowiek.

Cichy był i zmieniony.

W rękę trzymał kilka purpurowych maków, które powiędły i płatki swe tulily do siebie w agonii, rozpaczy pełnej. Ale w oczach miał Stalewski całe rozmarzenie dalekich pól złotych od zbóż i cienistą melancholię przeczuć przedwieczornych.

Smutek dziwny, szlachetny, aż płynął z jego schylonej postaci.

Wszedł niby cień, zwątpienia pełen, i Anka zrozumiała, że ta droga przez łany zbóż była mu Golgotą i że ten obrachunek z sobą był szczery i straszny. Nigdy Stalewski jeszcze nie wszedł na próg jej pokoju. Zwykle drwił z jej prerafaelskiej pracowni i sposób tworzenia Anki, nie wiadomo dlaczego, nazywał plamami.

Nie rozumiał, nie wiedział, że dziś sam wszedł w promień duchowy, i oto stał przed nią z całą tragicznością poszarpanej swej pajacowskiej szaty, przez którą przeświecała już prawda jego zdręczonej i doprowadzonej do szpetoty malarza „cenionego“—duszy.

Wpił się wzrokiem w widmo Piotruśki, i zdawało się, że z tą minutą przetwarza się, chłonie w siebie Siłę i Ekstazę Anki, on za słaby jeszcze, aby móżdżek wydobyć z siebie cud twórczości i syntezę choćby siebie samego. Już nie ten banalny, zdalny do użytku i ozdoby płaskiej estetyki tygodników rodzinnych, lecz jeszcze żaden w krainie prawdy, nie mogący uchylić wrót, po za którymi wyczuwał ołtarze, nieznanne i rozplomienione ogniami o królewskich, rubinowych wiewach.

Anka nie przerywała tej ciszy, mającej w sobie coś nieledwie świętego i zdającej się owijać jakąś nieprzeniknioną a dobroczynną mgłą tę drobną we Wszechświecie przestrzeń, w której dokonywały się wspaniale i potężne cuda.

— Przeszedł w godzinie samopoznania i męki— pomyślała—przeszedł ku mnie...

Myśl ta przejęła ją niewypowiedzianem szczęściem, którego na razie zrozumieć nie mogła.

Czuła tylko, że była mu rada, ona, która zawsze bała się jego nadejścia do jej zacisznego kąta i czuła przed nim pewną odrazę.

I dlatego królewską chęcią wspaniałości zupełnie przejęło ją jego zapytanie:

— A tamte?

Wskazał na płótna tajemnicze, odwrócone od ściany, znaczące się szkieleciami blejtramów. Anka cicho, hieratycznym swym krokiem sunąc za sobą długi zwój białych szat, powstała i jęła odwracać płótna wizjami ku oczom Stalewskiego.

Cały szereg ich rozwinął się wstęgą odczuć przedziwnych i ech duchowych.

Stalewski znów wzrokiem się w nie wpił i dookoła ust poczęły mu przewijać się całe szeregi widocznie walczących w jego istocie wrażeń. Były chwile, w których widocznie chciał coś jakby zarzucić, jakby po dawnemu płasko skrytykować, lecz już przejmował go wstyd, już nie mógł wyrzucić steku zdań, które dawniej swem Credem mienił.

Na straży tych widm stała biała postać Anki, milcząca i nieruchoma.

Była ona Archaniołem korowodu tych dusz i sama zdawała się otaczać całą poświatą wielkiej swej jasności wewnętrznego życia.

I jakby echo tej poświaty, odezwał się głos Stalewskiego:

— To ich wewnętrzna istota?

— Tak—odparła cicho Anka—ta druga i trzecia warstwa, której nie widzimy, a przecież czujemy, bo one są właściwie rdzeniem naszej istoty.

Stalewski znów patrzył w milczeniu.

Do Anki cicho przysunęła się Piotruška, którą przyście obcego człowieka zupełnie wytrąciło z poprzedniej ekstazy.

Dotknęła ręki Anki.

— Czy to pani—pan?—wyszeptala.

Anka spojrzala na nią z podziwem.

— Jakto? mój... pan?

— A no... a no...

Dalej się nie tłumaczyła ta wielka Rozkochana, tylko badawczo patrzyła to na Stalewskiego, to na Ankę.

— Bo tak sobie pomyślałam — zaczęła znowu szeptem—że choć ten pan ma siwe włosy, to można się w nim kochać.

Słowo to padło fatalne i straszne w biel tych ścian, przed te wizye nieruchome, w tę duchową atmosferę pracy i czystej twórczości.

Anka doznała, jakby pchnięcia nożem w serce. Był to ból czysto fizyczny i równocześnie drżenie całej jej astralnej istoty.

— Kochać?

Jak? Czy w rozłamie ciała i ducha, czy równocześnie całą istotą, pełną i nierozdzieloną?

Nie śmiała oczu podnieść na Stalewskiego.

Słowo Piotruški zgrzytnęło dysonansem w jasną pogodę i ciszę budzącego się ducha.

Ale zarazem dysonans ten miał w sobie jakiś rozkoszny tragizm, całe światy do tej chwili dla Anki nieznane i tajemnicą zakryte...

Opanowała się całą siłą woli, na jaką ją stać było.

— Nie, Piotruško—ten pan ma żonę.

Lecz Piotruška nie odpowiedziała ani słowa, tylko swe szare, rozmarzone oczy utkwiała uparcie w źrenice Anki i mąciła niemi czystość tamtych źrenic.

— A no...

Anka czuła, że teraz Piotruška może zajrzeć jej po swojemu w głąb duszy, więc szybko zatuliła się w skrzydła swej duchowej siły.

— Nie... nie... idź już, Piotrusiu. I pamiętaj, co ci mówiłam o Wierciaku. Rozmyśl się, zastanów... Przyjdź tu znów, opatrę ci rany.

— Dobrze...

Cicho, spokojnie wysunęła się Piotruška za drzwi pracowni.

Lecz po niej pozostało rozwiane w przestrzeni to wielkie, przeogromne słowo miłości, tryumfalne, niezwalczone, rozbrzmiewające siłą Wszechwiekową w szmerze drzew, barwach kwiatów, ryku lwa i cichym pogwarze ptaków, a przede wszystkim w bólach, rozpaczach, jękach i rozkoszy—ludzi.

XIX.

Od płócien Anki oderwał się powoli Stalewski i spojrzal na stojącą na ich straży dziewczynę.

Wydała mu się piękną dziwnie, tak piękną, jak nie widział jej nigdy, i jak nie widział w tej jasni piękności żadnej kobiety.

Promieniała cała w jakimś nimbie tęczowym i biło od niej ciepłem, przytulnym dla serca, a ducha podnoszącem.

Twarz jej miała delikatność linii niezrównaną, a wdzięk ten rysów okwitał czarem wyrazu w harmonię najwyższą.

I cała była w liniach, w tonach, w wyrazie, w rozduchowaniu—piękna, piękna, piękna!

Te resztki niewiary, jaką miał Stalewski do jej Dzieła, rozwiewać się zaczęły pod wpływem tej piękności.

Ona była piękna, tak nieludzko piękna, więc i to, co było jej dziełem, to jest esencją jej Piękności, musiało być pięknem.

Stalewski jednak jeszcze nie rozumiał, czuł, ale nie rozumiał. Stał na progu świątyni, nie miał siły, aby wejść do niej sam i spojrzeć w oczy Prawdy.

Jakby bezsilny, a przecież pragnący tej Prawdy, zwrócił się ku Ance.

— Proszę, powiedz, wytłómacz...

Było to dla niej niespodziane, bo działo się tak szybko, z taką dziwną energią faktów, iż przejął ją lęk, czy ta przemiana trwale zapuszcza korzenie, czy nie jest to pył kwiatów, podmuchami wichru rzucony.

Z jakimś rozrzewnieniem dziwnem wyciągnęła ręce ku temu człowiekowi, który się garnął ku niej z pokorą dziecka.

Odegnęła w tej chwili precz od siebie szept Piotruśki i rozwiała dokoła białość srebrną swych skrzydeł twórczych.

Pochyliła je liliami ku duchowi Stalewskiego i powiedziała mu: — pójdz! powiodę cię w dalekie przestworza, dla ciebie leżące odlogiem, boś szedł do tej chwili cieniem, a Prawda lśni złotą jasnością czystych i prostych dróg.

Dokoła nich drżały lekko ostatnie pokłosa słonecznych dziennych blasków.

We wstędze rzeki srebrzyły się i czerwieniały, jakby łuska krwawa, łzami rosy oblana.

Kępa wierzb na brzegu, pękiem gałęzi wykwiła, mdlała w tych krwawych poblaskach, które u jej stóp strzałami się rozsypywały.

I cicho było, coraz ciszej, jakby zmrok stropu wchłaniał w siebie pogwar i rozszumienieienne.

Dusza przyrody jedna, a tak rozliczna, jak noc gwiazdzista, wylaniała się coraz czystsza, coraz prawdziwsza, zrzucając z siebie jaskrawość dziennych ślubów słonecznych i tryumfów świetlanych.

Błękit nieba topniał w liliowe tony i tylko złoto u skrajów widnokągu łagodne było i nadziei pełne.

Ku tej Duszy wielkiej, czystej i nieskalanej, jak do części tworu, najbardziej zbliżonego do Twórcy, powiodła Stalewskiego Anka.

Delikatnym gestem przyzwała go ku otwartemu oknu i w ten omdlewający czar wieczornej chwili osnuła.

A gdy stanął naprzeciwko niej, taki piękny, taki zmieniony i pobladły pod koroną swych srebrnych włosów, Anka poczuła, iż wrywa się ku niemu z jej piersi jakby prąd tajemniczy, to samo, co płynęło ku niej z duszy Narbutta, gdy tam, w redakcyi, w poświęcie miesięcznej, on dawał jej z siebie to, co było lepsze i co jej duszę w krainę czynu wprowadziło.

XX.

Rozpoczęła się walka.

W białej, eleganckiej willi nadbrzeżnej, do niedawna jeszcze będącej przedmiotem zachwyty filii-

strów i ideałem rodzinnego życia, jakie wytworzyć może „dobrze odczute posłannictwo artysty“ — rozgrywał się dramat.

Stalewski z całym zaparciem się znosił to, co mu los obecnie przynosił.

Było w tej nagle zbudzonej w nim wrażliwości wewnętrznej coś prawie nienaturalnego, tak silną była reakcja, jaką nosił teraz w sobie. Robił wrażenie człowieka, który, nie umiejąc pływać, rzuca się w najsilniejszy wir z tem rozpaczliwym przeświadczeniem, iż jakoś wypłynie i potrafi zwalczyć trudności.

Z obrachunku z samym sobą, jaki zrobił po odczytaniu artykułu Narbutta, pozostało mu wrażenie strasznego upokorzenia i bólu. Gdy tak szedł bezkresną równiną pól, to, co dokonał do tej chwili, wydało mu się rzeczywiście marne i żadne. Nie miał przed sobą żadnego wielkiego dzieła, nie zrobił nigdy nic takiego, przed czem ludzie stają, milcząc, jakby porażeni ogromem duchowej potęgi, w dziele tem zawartej. Słpe wylawianie efektów natury i przenoszenie ich, a raczej przedrzeźnianie na „kawałku ścierki“, jak mówił Narbutt, przedstawiło mu się rodzajem roboty małpiej i napelniło go strachem.

— Poszli naprzód, ja wlokę się za nimi uparcie, jak ciura...—myślał, ocierając pot z czoła.

Ogarnął wzrokiem niezmierzone przestrzenie pól i łąk, szmaragdowe i złote, jasne i olbrzymie.

Czy to możliwe odtworzyć, skopiować?... Chyba na paletę ściągnąć słońce i trawę żywą rozłożyć... Jakże tak?... Rzeczywiście... jakże...

Stał zmieszany, jakby na rozstaju.

— Więc rzucić, nie malować... chyba.

Tęsknicą wielką znów ogarnął pola i łąki. Mimo swego kultuńskiego pojęcia sztuki, kochał to,

co starał się zacieśnić i przygasić na „ścierkach“ swych dzieł.

I dziwną mocą te pola, te łąki, ta ich słoneczność i szmaragd wydały mu się teraz całe melancholią powleczone, smutne i jakby w mgłę rozpadające.

— Jakie smutne—pomyślał—zupełnie inne, niż przed chwilą.

Przypomniały mu się słynne „Stery“—Monneta.

Zastanowił się.

Parę stert widzianych i odtworzonych przez artystę w rozmaitych oświetleniach i porach dnia.

Czyż tylko w porach dnia i światłach? Czy nie było tam coś więcej z własnego nastroju duchowego artysty? Te „Stery“ raz przedstawiały się jasne, wesołe, na drugim obrazie, w tem samym niemal świetle, były melancholią owiane, a złoto słoneczne zdawało się odbłaskiem gromnie, płonących przy katafalku.

Tak, stanowczo było to samo wrażenie i w nim w tej chwili. Gdy żegnał się niejako z możliwością pracy dawnej, a na rozstaju nie wyczuwał jeszcze nowej ścieżki, po której iść pragnął—te łąki, te pola, posłuszne modele o podatnych i chętnych łonach, zdawały mu się oddalać, jakby żalobą za nim zdjęte.

Kto wie, czy nie był to właśnie łącznik jego odczuć z Monnetem, kto wie?

Tak mu się to niejasno po umyśle przewinęło, lecz odsunął tę myśl od siebie, jako wrażenie czysto osobistej natury.

— Nie...—pomyślał—nie tędy drogą!

I znów zaczął iść przed siebie, targając się w rozpacz i smutku. Zdawało mu się, iż jest pustką straszną, beznadziejną, że w tym chaosie nowoczesnej twórczości on niema nic do powiedzenia,

że jest smutnem sercem, które powinno być wyrzucone za nawias.

I nagle, jakby porażony tą myślą, zatrzymał się i runął w falę żyta, runął twarzą w źdźbła, które rozstąpiły się pod jego ciężarem i zaszumiały mową srebrną, rozlewającą się w dalekie kręgi.

Za nawias!...

Nie to społeczeństwo „arcykołtunów“, które ceni wysoko oleodrukowe tematy i zachwyca się scenami genrowemi z pobłażliwym wzruszeniem, nie ten odłam, a właściwie nie ta większość będzie zawsze za nim i mieć będzie dla niego uznanie, oklask i pewną ilość pieniędzy, lecz ci inni?

Tych „innych“ odczuwa on, widzi ich, choć tak mało ma z nimi styczności. Zamknięty to klan—odosobniona kapliczka, wyniosła i niedostępna. Jakiś tłum odwracających swe arystokratyczne profile „uznanych“ dzieł, tłum zapatrzony w dal, nieskończoność, oświetlony kryształowemi lampami własnych, rozmodlonych w tęczę duchów.

On wiedział, kim są właściwie ci, których wzgardliwie wyszydzał z obojętnością dobrze nasyconego motolka.

Podchwytywał ich słabości, ich chwile powrotu pomiędzy ludzi“, ich alkoholizm, nocne włóczęgi, długość włosów, wygodne płaszcze i zwłaszcza Erotyzm... ten rozwichrzony, rozpieszczony Erotyzm.

Zdawał się zapominać o własnej, rozwichrzonej młodości, o rozpuszcieniu monachijskich atelierów, gdzie fotografie modelek w uściskach szkieletów były uznawane jako szczyt dowcipu i wykwit artyzmu.

Nie pamiętał niemieckich knajp i nocnych włóczęg, nie pamiętał własnych krawatów, wiązanych sztucznie, i czubów, które mu na szpilce rozgrzanej kręciła z włosów jakaś Mitzi, albo inny „akt“ rozbydłcony.

On brał tylko „wierzchnią warstwę“ tych innych, tych „młodych“, którzy z taką pychą plunęli mu wreszcie w oczy i o ziemię cisnęli.

I co było najstraszniejsze, to to, że on czuł, iż to pchnięcie ich nie było zemstą, ani odwetem za jego pogardę, z jaką koło nich przechodził, wyniosły w swej sztuce i odzieży, ściśle dopasowanej do kroju i wymagań wszystkich porządnych ludzi.

Nie, to nie była zemsta, to nie była owa chęć—*ôtes toi de la pour que je m'y mette*—wieczysta walka o byt, spychanie się z zajętego wygodnie stanowiska.

To był krzyk, protest, pewna ochrona ludzkości przed szpetotą jarmarcznych szyldów bezcelowych i dla niego tylko wygodnych. To Duch, którego panowanie przyszło nareszcie, z poszumem skrzydeł wzbijał się na wyżyny.

To było w słowach Narbutta—nie co innego.

I Stalewski uczuł się nagle mały, nędzny, drobny—żaden.

Ta willa, ta pracownia, te stosy grzecznych recenzyj, te komisye, ferujące wyroki o zakupnie obrazów, komisye, którym przewodniczył, te bankiety, toasty, mowy, to wszystko wydało mu się nędzą fatalną i bolesną.

Nie podniósł głowy od ziemi, na którą upadł, a przecież na karku swoim czuł ten mierny bagaż, ten dorobek swego życia, który mu przypadł jakby marą i gniesć go zaczął.

Po co to uczynił—myślał—po co szedłem tą ścieżką, dlaczego zamykałem oczy, dlaczego nie chcia-

lem widzieć nic z ewolucyi, która się dokoła mnie odbywała?

Chciał znaleźć wytłumaczenie. Dawne frazesy cisnęły się dokoła niego.

— Malpiarstwo, naśladowanie prądów zachodu.

Czuł jednak, że to gmach sztuczny. Jeśli prąd sztuki powiał z Anglii i przeszedł całą Europę, dlaczego miał ominąć i nasz kraj i naszą sztukę?

Lecz prąd ten wiał widocznie na wyżynach, do niego dochodził echem...

Poświęcał się.

Dla kogo?

Dla żony, dla dzieci, dla utrzymania godnego stanowiska między ludźmi.

Ambicya na czas zapłaconego mieszkania, sprowadzenia węgla w większej ilości na zimę, szumiącej tafty pod suknię żony, możność dania większej składki w miejsce powinszowań noworocznych, a dalej wyprowadzenie synów „na ludzi“, z których jeden może się dostać do prokuratury, drugi...

Mysł się urywa i znów tylko w mózgu pracuje jedno słowo:

— Pajac! pajacl...

Tak—poświęcenie.

Lecz zdaleka, z poszumem lekko rozkołysanego żyta, przetykanego koralem maków i szafirem bławatków, płynie ku niemu jakiś głos kobiecy.

To Anka czyta, oparta o ramę okna, Ruskina:

„Ludzie nie są stworzeni na to, aby dla siebie umierali, lecz na to, aby umacniali się i upiększali wzajemnie...“

Stalewski przypomina sobie tę chwilę, kiedy to on siedział przy rajsbrocie, kończąc na gwałt jakąś alegoryę przygodną, obstalowaną przez jakieś wydawnictwo ilustrowane.

Oczy miał czerwone, krwią zaszele, ręka mu drżała. Pochylony jednak przy lampie, rysował wy-

trwale. Potrzebował pieniędzy na „Boże Narodzenie.“ Alegorya miała być zapłacona natychmiast. Rano Stalewska przedstawiła mu spis świątecznych rachunków. Długi jadłospis wigilijny, na którą to „wyzerkę“ należało zaprosić kilka osób wpływowych, a samotnie, bez rodziny chodzących. Dalej, należało pomyśleć o choince i artystycznej szopce, o której mówiliby długo w mieście. Fotografie takiej szopki umieściliby się w ilustracjach, a to może zrobić „dobrze.“ Dalej prezenty i dla dzieci, i dla tych „wpływowych“, którzy będą na wigilii, potem przyjęcia świąteczne...

Tak, to wszystko, jak cienka szpicruta, podnieca rzekomo twórczość Stalewskiego. Aby godnie przepędzić święta, potrzeba kilkuset guldenów, a składa się tak, że kasa pusta, bo sportretowani nie śpieszą z zapłatą, sądząc z pozorów, iż „mistrz“ nie czeka tak dalece na pieniądze.

Czerwone oczy, ręka drżąca, palce prawie skurczone, niezliczona ilość szkiców do jednej „alegorycznej“ rączki.

Tak, ten kark schylony i to wszystko razem—to poświęcenie.

Taki musi być nastrój ogólny, bo oto Anka od kilku chwil patrzy na niego i nagle z książki ciemno oprawnej, którą przyniosła z sobą, czyta jeden krótki frazes:

„Ludzie nie są stworzeni na to...“

Głos jej przelata fala nad głową Stalewskiego. Nie rozumie jej słów, lecz je mimowoli zabiera w swoją istotę. Bo oto teraz, w poszumie kłosów, gdy w poświęceniu chciał znaleźć usprawiedliwienie swego zastoju i uporu, te słowa Ruskina, przez usta Anki wypowiedziane, wróciły i stały się dlań zrozumiałemi.

Powoli oderwał twarz od ziemi, od tych stłoczonych kłosów, na które tak padł rozpacznie, lecz

nie powstał, nie chciał wrócić do rzeczywistości. Zaszyty w złoto żyta, z szafirem niebios ponad źrenicami, czuł się odgradzony od świata, i po raz pierwszy sam z sobą i swoim sumieniem. W kieszeni kurtki czuł dziennik z artykułem Narbutta, lecz nie czytał go więcej.

Z nadzwyczajnym okrucieństwem wbiły się słowa młodzika w jego umysł.

Pamiętał każdy zwrot, a im był brutalniejszy, tem lepiej go pamiętał.

I leżał tak, obracając w ranach swych ostrze noża, płacząc krwią duszy, która nagle wypłynęła ku niemu z kaźni, w którą ją wepchnął.

Stanąła przed nim naga, pleśnią porosła, nie chcąc odziać się w pstrą szatę karyery. Wspaniałym gestem odtrąciła także lachman poświęcenia, w który ją udrapować pragnął.

— To, co dawałeś twym dzieciom kosztem moim, zle jest i marne, a przez nich samych kiedyś będzie wyśmiane i przeklęte. Odziewałeś je suto w strojne sukienki i kładłeś im, jak piętno, chomonta twej blażeńskiej sławy. Stokroć lepiej było dać im skromną, ubogą sukienkę, a zamiast rozdzwonionego chomonta, położyć na nie piętno wyższości swej w pojmowaniu i tworzeniu Piękna.

Tak mówi, tak wionie wichrem rozpaczonym ku Stalewskiemu jego Dusza.

I rozpoczyna się jego Golgota zbyt wczesnie, a tem straszniejsza, iż ten człowiek ma jeszcze w sobie siłę twórczą i zaczyna się szamotać tą siłą z taką rozpaczą, iż nieledwie znieść to wszystko jest w stanie.

— Więc cóż teraz? co?

Ustępstwo?... spróbować się z „nimi“, pokazać im, że i on...

Nie kończy tej śmiałej myśli, sformułować całej nie śmie.

Spróbować...

Pot mu czoło zrosił.

Czuje się na rozstaju. Dokoła niego ścieżki powiklane, niezrozumiałe.

Zaczyna przypominać sobie całą siłą niektóre „nowatorstwa.“ Grymas wykrzywia mu usta, przywykł tak im uragać, że nie czuje ich wcale. A przecież to ma być Prawda!

— Nie wiem, nie wiem—myśli—czuję, że dusza moja się krwawi, że nie powlecze się dawnym torem, a przecież nie wiem, gdzie mam iść, nie wiem nic...

W życie wzrasta szum, niepokój przedwieczorny. Coś brzęczy chórem w terycjach, potem akordami coraz ciszej się rozlewa. Od stropu, od błękitu, płynie ukojenie i senność przedwczesna. Natura rozlacza swe nocne opony i zagarnia w nie poszum, niepokój, oznaki życiowego rozkwitu...

— Nie wyjść więcej z tej fali żytniej, zaginać tu... nie widzieć nic!

Po raz pierwszy Stalewski pragnie gorąco i szczerze Zniknięcia z pogwarnej platformy, na której z takim wdziękiem i temperamentem rozwiewał poly swej sławy i tużurka, obowiązującego na *fixach*, których był ozdoba, a czasem treścią.

Lecz nieubłaganie upływa czas.

Golgota pozostaje sobą nawet i w liliowym świetle wieczoru.

Biały, blady księżyc krajem wystąpił z głębokości pobielalego szafiru.

I zatrzymał na sobie źrenice Stalewskiego.

Miłą mu była ta nieśmiałość i niepewność tam, w górze. Lękał się brutalnego, purpurowego widoku krwawo zachodzącego słońca. Wiedział, czuł, iż tam, na skraju horyzontu, rozwiała się ta rubinowa, strzelista tragedia zachodu, i widmo słoneczne, skrzące brylantami, ściele się po rżysku.

Lecz on zeszył się w tę część horyzontu, która była nieśmiałej melancholii pełna.

— Tak, jak moja dusza... — pomyślał ze smutkiem.

I cała jego walka roztopiła się w bezbrzeżnej przesmutnej melancholii. Coś szlachetnego było w tym smutku cichym i pełnym godności. Jakaś pokora dziwna ujarzmionej nagle i zranionej duszy...

I takim przywłókl się Stalewski pod próg Anki, takim stanął przed jej obrazami, a potem zwrócił się ku niej z pytaniem w oczach, z pytaniem w ustach:

— Powiedz!... wytłómacz!...

XXI.

Powiedziała, wytłómaczyła.

Otworzyła swą duszę, jak kwiat rzadki i piękny, aby on przeniknął jej barwę i napoił się wonią.

Najlepszą obrała drogę.

Porzuciła ton mentora.

Nie mówiła mu: rób to, idź tam, lecz królewskim, hojnym gestem wykazała przed nim swoje Piękno i rezultaty, do których doszła.

Słuchał ją wtulony w cień, słuchał milczący, z drgającymi ustami. Słowa jej, dźwięk jej głosu rozwiewny, delikatny, miały w sobie ten melancholijny wdzięk liliowego zachodu, który mu był miły. Nie nie rozdrażniało jego ran, nie lecząc, nie przypominało mu jego bólu.

Tylko wchodził powoli w mistyczną sferę, zu-

pełnie inną, niż do tej chwili i rozpoczynał wędrówkę wśród gwiazd, cicho płonących dobroczynnym blaskiem.

Anka gwiazdę taką zdawała się nieść w wysoko podniesionych dłoniach i rozświetlać nią szlaki. Światło było pewne, spokojne, przenikające siłą. Nie migotało, nie oslepiąło sztucznością pochodni. Zaden wichur nie mógł zgasić tej gwiazdy. Stalewski zaczynał to rozumieć. I zaczynał również nie czuć się tak samotnym na bezdrożach poplątanych ścieżek.

Przed nim szedł już biały, ciągnący za sobą cień.

Urok głosu Anki kojarzył się dziwnie z urokiem treści jej słów.

Była chwila, iż w tej ciszy rozdzwiewał się tylko głos i Stalewski zatracił głębię i znaczenie myśli.

— Jak słodko! — myślał — przenikając przez fale głosu ku postaci, lekko zaznaczonej jasną mgłą wśród mroków wieczornych.

— Tak!.. ona musi być w prawdzie i musi być sama prawdą! Słodycz czysta i dziwna płynie od niej i przenika mnie całego...

W willi na dole zapanował ruch.

Na ogródek wyszły służące i zaczęły zapalać pstre japońskie latarki.

Tu i owdzie zakolysały się pomarańczowe światełka. Od okien padały jasne smugi na wygracowane aleje i senne po trawnikach kwiaty.

To widocznie Stalewska oświetlała całą willę, aby nie dać nikomu poznać, iż artykuł Narbutta dotknął ich w czemkolwiek.

Pstre, jaskrawe *quand même* ubrało willę w łachman pajaca.

Ta kobieta z całym uporem pragnęła wykazać, iż na cal Stalewski nie zejdzie z obranej drogi.

Anka drgnęła cała pod wpływem tych brutalnych światełek.

Były takie małe, takie śmieszne, takie papierowe, poklejone gdzieś na tandecie wiedeńskiej, przedrzeźniające uroczy kraj laki i motyli, kraj, rozdzwoniony pięknem drobiazgowych cichutkich dusz.

Lecz prędko się powściągnęła, widząc, iż Stalewski, zastuchany, nie zdawał się zwracać uwagi na ten mizerny protest malodusznej kobiety.

I znów popłynął głos Anki i zajaśniała gwiazda jej piękna, wzniesiona wysoko ponad rozległy łan, na którym wykwił cały ogród jej duchowych zdobywczy.

Wewnętrzna warstwa życia, tak napozór subtelna, pajęczko delikatna, zwalczała w tej chwili zwycięzko zewnętrzną codzienną, wykutą z uporu i złośliwości w zastoju pogrążonej istoty.

— Patrę w głąb duszy... i widzę ją w poświęceniu jej piękna. Bo dusze ludzkie, pomimo wszystkiego, co się o nich mówi, są piękne. Trzeba tylko umieć odróżnić ich piękno prowizoryczne od piękna rzeczywistego, odsunąć plewę i sięgnąć do samej głębi często krwią ociekniętej, po prawdziwą słodycz, właściwą duszy ludzkiej... Jest ona rozmaita... tak, jak rozmaite są objawy żywotności duchowej, i właśnie jej jakość zależy może od tych objawów, które się pierwsze myśli naszej nastroczają. I z tego tkam istotę człowieka...

Nagle na dole rozhuczał się fortepian.

Stalewska, w muślinowym peniuarze, grała Eriköniga z zapalem historycznym, i szum, huk torturowanych klawiszy płynął razem z jaskrawymi blaskami na ciche grzędy narcyzów i aksamit bratków.

Anka urwała swe słowa i dziwny uśmiech wykwił na jej ustach.

Stalewski teraz drgnął cały, widocznie rozżalony głównie tem, iż dysonans brutalny przerwał czar pięknej chwili.

— Pójdę, nakażę ciszę... — szepnął przez zęby. Lecz Anka zatrzymała go powolnym gestem:

— Nie! — wyrzekła — jeżeli pan chcesz wyczuwać tę najgłębszą warstwę w duszach ludzkich, musisz nauczyć się sam panować nad swoją. A przede wszystkim zniszczyć w sobie odruchy gniewu. Zastąpić je można smutkiem, zrozumiałwszy, ile siły szlachetnej w tym smutku zaczerpnąć można.

Ręka jej, przez chwilę wzniesiona w przestrzeni, bielala, jak kwiat mistyczny na tle czarnej kolumny.

Stalewski wpatrzył się w tę rękę, wsłuchał się w te słowa:

— Zastąpić je można smutkiem...

Ależ on już wyczuł właśnie taki smutek wśród fal zbożowych.

Mógł więc tylko do niego powrócić.

Cofnął się w tę warstwę spokojnej i kojącej melancholii i nagle uczył ukojenie wielkie.

— A potem możemy porozumieć się milczeniem i ciszą wewnętrznych istot. Tak się zapatrzą i zamodlą w świątynię swych własnych pragnień i celów, że najsilniejszy pedał nie zdoła w nie taranem uderzyć.

Te słowa już słyszy Stalewski jak przez mgłę, jak w poszumie zbożowych fal. Kwitną dookoła niego jakieś przedziwne kwiaty o ludzkich twarzach. I coś po tych grzędach się snuje. Lecz nie rozumie wyraźnie, jakiś smukły cień, osłonięty i liliowo piękny.

Stalewski wtula się coraz więcej w swoją ciszę i rzeczywiście odgranicza się od świata. Tylko na straży tej nieśmiało wznoszącej się Świątyni, dźwigającej się z gruzów obstalunków i szablonu,

stoi Anka cicha i milcząca, uważna i w głąb świątynną wpatrzona.

I zdaje się jej, że tam, wśród kolumn, migotać zaczyna jakieś światelko, mogące rozplomienić się w żar przedziwnej, niezrównanej piękności.

Przez serce jej, przez umysł jej fala płynie...
płyń...

Skrzydłami rozpostarta u kolumn świątynnych, dusza jego samotna spowiada się Bogu. Stokroć mniej winna od wszystkich niewinnych... Jednak omdlewa z trwogi i czeka u progu...

I myśl Anki płynie... płynie...

Jakaś grupa ludzi posuwa się zwolna od lasu ku willi.

Kilka latarni w ręku, za nimi cicho wóz sunie.

Wóz ten ma na grzbiecie coś na kształt trumny.

Coś, co w ciemności staje się jeszcze bardziej ciemnym, tajemniczym, groźnym, rozpaczliwym.

Nie kształtem swoim, nie czernią powierzchni, ale zawartością, która w tej czerni jest tak silną i potężną, że aż przeświecać się na zewnątrz zdaje.

Smugi świetlane, jak wstęgi karawanu, płyną od wozu, od grzbietu jego, ciągną się, nikną, znów plamami występują i znów się łączą, potem rozbiegają w miryady drżących światełek. To wszystko

ciągnie się od wozu, który pelza wśród drogi od lasu, a za nim idzie garstka ludzi, jakby znudzonych, zmęczonych tą nocną wyprawą.

Leniwo kołyszą się w ich rękach latarnie, leniwo stawiają kroki.

Oni nie widzą świetlanych smug, które płyną z żalobnego wozu. Gorliwie strzegą światła swych blaszanych latarni i te im wzrok przysłaniają.

Oni tych smug nie widzą...

Gdyby im kto powiedział: „idźcie wolniej, nie popędzajcie koni, patrzcie, tam wlecze się i drży jeszcze część tego trupa, którego porwaliście po oględzinach policyjnych i lekarskich, z takim animuszem atletów, na bary“, ci ludzie roześmieliby się grubiańsko, a kto wie, może serdecznym śmiechem.

Bo oni widzą tylko światła latarni, które polakierowano właśnie świeżo na ciemno - zielono i wprawiono w nie nowe szyby.

Bo to się widzi.

A *Tamto* się wyczuwa.

I dlatego Anka z okna swego wyczuwa tę smugę świetlaną, ciągnącą się od wozu aż hen, po ten smutny, bezsłoneczny las.

Po drodze wlecze się ta smuga, śpieszy, rozprasza się i gubi cząsteczki drżące, jakby krew brylantową.

Jest ona sto razy tragiczniejsza, niż ten sam Trup stężały już i zamknięty tak szczelnie w czarnym pudle, przywartem do grzbietu wozu. Bo w niej, w tej świetlanej części samobójcy, tkwi jeszcze życie, a może właśnie sama istota i przyczyna życia.

Lecz bez mistycznego połączenia, bez tej nigdy nieprześwieconej Tajemnicy, i ono, i to światło, przestaje być światłem i motorem życia ciała, z którym stanowiło taką dziwną, taką, grozą przejmującą, jedność.

Po drodze, po żdźbłach trawy, po krzaczkach, po kamieniach, rozwłóczę się gorące, wyiskrzzone blaski.

Czy zgasną?

Czy rozwieją się w nicość?

Czy wchłonie je w siebie inna istota ludzka, roślinna? Czy może stanie się duszą jakiejś, napozór martwej rzeczy, która z taką jednak potęgą w życie się nam wprasza?

A może w tę noc letnią, czarowną, rozgwieżdżoną, zabiera ją w tchnieniu swoim człowiek-mężczyzna, człowiek-kobieta, i w pocałunku miłosnym, w ekstazie twórczej, w chwili Cudu, przekaże dziecku, którego poczęcie ze śmierci początek wzięcie.

Może...

Anka tego nie wie, Anka tego zrozumieć nie może, tego zresztą nikt ani wiedzieć, ani zrozumieć nie może, ale ona czuje, że przed nią odsłania się, jakby część najwyższego misterium, wobec którego omdlewamy z bólu nieświadomości i trwogi.

Wóz sunie teraz wzdłuż krat ogrodowych. Światło japońskich lampionów, kołysanych wiatrem, ślizga się po nim tęczowymi plamami.

W tem świetle szafrowem, zielonem, purpurowem, występuje brutalnie zniszczenie smutnego wozu—te deski, zbite w budę bezkształtną.

Coś na wzór karawanu, coś jakby buda miejskiego rakarza.

I na te plamy tęczowe, jakby drogie kamienie padły i drżały, padły i nikły, niby królewska

dłoń sypnęła klejnotów garść, aby upiększyć nędzę tego schowku.

U kraty przyległa służąca, pilnująca lampionów, aby nie pogasły.

— Kogoż tam wieziecie?—pyta ciekawie—wtłaczając twarz pomiędzy sztachety.

— A takiego znów z lasu, co miał życia dosyć!—odpowiada chrapliwy głos z po za wozu.

Służąca uderza w dłonie z pewną manierą.

— Boziu! Boziu!...—mówi—to straszne, znowu się jakieś zabiło?

Po chwili dodaje:

— A młody?

— Dla panny za młody...

I śmiech rozwłóczy się dokoła budy, która już znika w cieniu, podczas gdy plamy tęczowe drżą i tańczą na ziemi, na kamieniach, na krzakach przydrożnych.

Stalewski przechyla się z okna i patrzy za znikającym wozem.

— Oto... życie!...—mówi wreszcie z rozpaczliwą, bezdenną melancholią.

Anka patrzy w przeciwną stronę i wyczuwa tę smugę świetlaną, ukochaną, nadziei pełną.

— Oto życie!... — powtarza, a głos jej brzmi tryumfem, radością, i jest jasnym, ciepłym, drgającym, tak, jakby z tych rozproszonych, brylantowych cząstek ku niej się coś wzbijać zaczynało.

XXII.

W kilka dni później zakottowało się w mieście, zawrzało, zahuczalo.

Poruszyło się całe błoto od dołu z zaciętością niezwykłą.

Szary dzień ubarwiły setki plakatów wyborczych. Purpurowe, krwawe, pomarańczowe, jak one lampiony Stalewskiej.

Cała ludzka, śmieszna, mała pycha, to coś, każące wylazić na spróchniałą drabinę, to *coś*, co rozpiekało pierś Napoleona i pana radcy miejskiego z małego miasteczka, spadło jak sęp, jak hyena rozskrzydlona, i wyło, klóciło, dobywało z serc ludzkich zdumiewające objawy małości i podloty.

— Obywatele! Wyborcy!...

A dalej:

— Jedynym kandydatem demokratycznym i t. d. Przypomina to formą i treścią „Prawdziwy, jedyny, uniwersalny płyn Jana Kwizdy.“

I te zręczne insynuacje...

I te luki śliny, wyrzucanej w stronę kontrkandydata.

W takiej chwili sądzić można, iż całe społeczeństwo galicyjskie składa się z samych zdeklarowanych lotrów, będących równocześnie zbawcami kraju.

Wyziara z każdego rogu ulicy pycha osobista i chęć utrzymania się na cał *wyżej*...

Krzeseł w sali źle oświetlonej, prawo wygłaniania się w tej lub owej kwestyi—zadowolenie z przeczytania w dziennikach „na interpelacy radcy...“

I obojętne, senne głosowanie za prowodyrem, a nadewszystko chęć pozowania dla galeryi.

To już najumiarkowańsza hydra polityczna, to pragnienie rządzenia miastem i oponowania przeciw „pozycjom budżetu.“ To już żądza wicherzenia w pewnej przestrzeni, obramowanej kamienicami, w których zgromadziły się całe stada ludzi. Reprezentacja przy odstawianiu pomników, spacer po błocie

w stroju twarzowym za trumną ironicznie na tę rzecz zapatrującego się nieboszczyka, możność rozpierania się przy biurku, gdy przychodzi jakiś pent i mówi z pokorą: „pan radca, panu radcy, panem radcą.“

Anka dnia tego wstaje wcześniej i odziewszy się, biegnie do redakcyi.

Ona wie, że ojciec przeżywa dziś jeden dzień, w którym koncentruje się znów całe jego życie. Ona czuje, co się tam dzieje w tej biednej pychą duszy.

Ona wie także, iż będzie to jeden więcej sromotny upadek, iż Zagrodzki „nie przejdzie“, pomimo, iż ów dziennik, w którym go tak popierają, rozwinął dardzo ładną i bardzo dobrze pomyślaną agitacyę.

Anka wie, że jest bezsilną, że nic nie poradzi na ów upadek, że nawet jej obecność będzie przez ojca niedostrzeżona, ale ta nic, która ją wiąże tak silnie z tym ojcem, będącym dla niej tak mało „ojcem“, ciągnie ją ku niemu.

— Pójdę, będę przy nim!...

Przypomina sobie, iż dzień przedtem widziała go strasznie wybladłym i zdenerwowanym, jak biegł przez ulicę, potracany przez ludzi, nawoływany przez fiaków, z oczyma, płonącymi niezwykłym gorączkowym ogniem.

Stawał na rogach ulic, czytał plakaty wyborcze, które pewnie umiał na pamięć, poił się obelgami, które czerniały, porozwieszane jak sztandary, i siekły go różgami zarzutów, a potem znów wpadał w hypnozę przed własnym „wyznaniem wiary“, który podawał jego „komitet“—na innych płachtach, naklejonych w pośpiechu, a zdzieranych szybko przez kontrkandydatów. Niepodobna było pochwyć nawet tragiczności wyrazu twarzy tego starca,

biegającego tak z rogu ulicy na drugi róg, bladego, z ustami silnie zaciętymi.

Jak zawsze, elegancki, nieposzlakowany ubrany, wielki pan w każdym calu, przerażał tą elegancją zgalwanizowanego trupa.

Ance ścisnęło się serce wielkim fizycznym bólem:

— Jak ona go żre ta chimera, którą tak starannie, jak lampę kryształową, w swej duszy pieści! Jak ona go żre!...

W redakcyi pootwierano wszystkie drzwi na rozcież.

Całe stosy śmieci, papierów zalegały podłogę.

Z racyi wyborów nie zamiatano.

I tak się dziś naśmiewa „hyenami“ i rozmaitym innym „narodem.“

Przed redakcją szereg dwukonnych fiaków czeka na rozkazy i rozwozi po mieście agitatorów i wyborców.

Każdy fiaker, wynajęty przez dziennik na cały dzień, ma na piersi kokardę błękitną.

Gdy agitator, lub ktokolwiek, potrzebujący fiakra w agitacyjnych celach, spotka taki powóz na mieście, ma prawo wsiąść do niego i jeździć, gdzie chce i do kogo zapagnie.

Cały dzień widać po mieście jeżdżących Wierciaków, a fiakry z kłękitnymi kokardami śmieją się i bawią z wysokości kozłów.

Naczelnym redaktorem, człowiekiem chorym, sangwinikiem, z fioletoowymi plamami na twarzy, podobnej do maski Ibsena, dobywa resztek sił i głosu, drepcąc po zaśmieconych pokojach redakcyjnych.

Telefon jęczy ciągle i przeraźliwie.

Przy nim szasta się sekretarz redakcyi, traktujący sprawę wyborów elegancko i z humorem.

Co chwila otwierają za pomocą świderka, pożyczzonego od stolarza, butelki Pale Ale. Kanapki

z kawiosem znikają, jak w czelusiach piekła. Jakies gromady nigdy nie zjawiających się w redakcyi ludzi przeciągają przez lokal i po ich odejściu taca kanapek próżna, butelki Pale Ale—próżne.

Fiakry turkocą, odjeżdżają, zajeżdżają...

Po schodach dudnią ciężkie buty.

W sieni słyhać szepty, wykrzykniki, rozkazy...

Sekretarz z wytworną uprzejmością przyjmuje Wierciaka, który spocony, ochryply, nieumyty, z krawatką, przekręconą na nabrzmiałej szyi, wpada co chwila do redakcyi i każe wywoływać redaktorów kolejno.

Gorączka, zar panuje dokoła.

W bramie tłoczą się i krzyżują rozmaite indywidua. Koło fiaków podrygują dzieci. Jakaś sługa zawyrokowała, że to musi być wesele, ale jakiegoś wdowca albo i rozwodnika, bo fiakry „na niebiesko.“

Usłyszał to sekretarz, wyjrzał, zobaczył, że dziewczyna ładna, i z wdziękiem podał jej przez okno bułeczkę z kawiosem.

W tej właśnie chwili wchodziła Anka do redakcyi.

Ten postępek młodego, wesołego chłopca zasłonił jej na chwilę całą bezden gorączkowej głupoty, jaka rozprzestrzeniła się tutaj, biorąc do pomocy ambicję, doprowadzoną do szalu.

— A, paniusia!... śliczna panna Anna będzie z nami agitować... a ot, jeszcze jedna bułeczka.

I z tym samym uprzejmym gestem, z jakim przed chwilą traktował służącą, rzucił się sekretarz ku Ance z tacką, na której czerniła się ostatnia kanapka.

— Dziękuję panu!—odparła Anka, uśmiechając się mimowolnie—niech to pan zachowa dla rzeczywistego agitatora.

Lecz ruchliwy sekretarz już był przy drzwiach, już szeptał z jakąś grupą podejrzanych indywiduów i wachając nieznacznie klapę od kurtki, naperfumowaną Vera Violetta, prowadził oną grupę do ostatniego pokoju.

Tam bowiem wrzał najsilniejszy ruch i tam była kuźnia wyborów.

Przez okno, wychodzące na dziedziniec, konferowano z bandami „hyen“, cisnącemi się dokoła niewielkiego skweru. Szary dzień bez promienia słońca, ciężki i duszny, tłoczył mózgi przedburzową siłą. W powietrzu drżały całe smugi elektrycznej potęgi i przenikały nawskroś ciała ludzkie. Z gromad, stojących pod oknem, biły kłęby woni alkoholu, potu, machorki i starej odzieży...

Z ich twarzy, z ich oczów ukośnych, ust, dziwnym grymasem na bok ściągniętych, aż biło oblesnym fałszem, przyczajaniem się i umiejętnością wyzysku chwili, tak podatnej do wykorzystania ludzkich namiętności.

Z okien oficyny, otaczającej dokoła dziedziniec, przyglądali się lokatorowie, kobiety z dziećmi na ręku, sługi, przechylone przez wywieszone dywany, lub kołdry, i ze spokojem i pewną ociężałością śledzili ten kłęb ludzi, cisnący się ku redakcyi, zięjący gwarem, gorączką i niepokojem.

Wesołe wrażenie, które Anka odniosła przez spotkanie na progu grzecznego sekretarzyka, zatarło się zupełnie, gdy zaczęła błądzić po pokojach, szukając ojca. Potykała się co chwila o ludzi roznamiętnionych, rozkrzyczanych, knujących, liczących, nienawidzących, pełnych jadu i chęci zabicia moralnie bliźniego.

— Co tam? co tam?—pytał naczelny redaktor, któremu czterdzieści stopni gorączki zdawało się dodawać skrzydeł, niosących go nad rozszalałem miastem.

— Jeszcze nic pewnego... zdaje się jednak, że dobrze!...

— O!... może się pan czego napije, potem proszę brać fiakra i pod ratusz.

— Dziękuję, pic nie będę, lecz...

Nagle wpada ktoś brodaty w kapeluszu, zsuniętym z czoła.

— Żydzi, Żydzi brużdzą...

Konsternacya.

A potem krzyk:

— To nie może być!

— Tak jest.

— Kahał za nami.

— Nieprawda.

I po redakcyi całej leci szumem wzburzenia:

— Kahał bruździ!.. Kahał odstępuje!...

W jednej chwili zbijają się grupy — szepty, narady.

— Ten ma wpływy...

— Bierzcie fiaków!

— Psia krew, niema ani jednego.

— Pędźcie na róg, bierzcie pierwszego lepszego!

— Obiecał...

— Kto mu wierzyć może?

— Pozwólcie... jakże?...

— Cicho, nie gadać, działać!...

Sekretarz wpada, prowadząc jakies trzy indywidua.

— Jest dwanaście głosów, ale chcą...

Szeptem wymienia cyfrę.

— Dać, dać!...—woła naczelny redaktor, macając się co chwila pod lewą pachę, gdzie tkwi od rana termometr.

Anka wreszcie ośmiela się zapytać jednego ze znajomych redaktorów, piszącego *quand même* kronikę do wieczornego numeru.

— Gdzie mój ojciec?

— Nie wiem.

Do redakcyi wnoszą coś cichaczem. Zaczynają to coś oglądać w kącie. To transparent z twarzą Zagrodzkiego, przygotowany w razie wyboru. Ołbrzymia głowa, dziwna, straszna, z doskonale zachowanym wyrazem tragicznego niepokoju. Oczy wyblądłe, błędne.

Wszyscy się zachwycają.

— Doskonały!

— Jak żywy!...

— W którym umieścimy oknie?

— W środkowym... resztę okien obwiesimy lampionami... oto są!

W jednej chwili, jak stado motyli, w rękach zaczynają fruwać lampiony rozciągane, jak potworne harmonijki. Ktoś zapalił wewnątrz świeczkę. Smutno zapłonęła pomarańczowa plama z posianemi na niej szafirowemi zygzakami.

— Zgasić... zgasić... schować!...

W stos, na stół, pomiędzy całe masy dzienników porannych rzucono lampiony i transparent.

Padł całą długością i zsunął się połową ze stołu, świecąc zdaleka bielą brody, włosów i cery twarzy Zagrodzkiego.

I znów: „Żydzi, Żydzi, kahall!...”

Anka nagle widzi w kącie wciśniętego Narbutta.

Jest zmieniony, prawie siny, smutny, nie pijany. Siedzi nad jakąś książką, z której machinalnie robi notatki. Widać jednak, że ta praca jest mu obojętna, jak obojętną mu jest gorączka i wrzawa, przepelniająca redakcyę.

Jest koło niego jakiś abstrakcyjny krąg, który nie pozwala zbliżyć się i przerwać mu tego odosobnienia, wyniosłego i arystokratycznego.

Anka to czuje, czuje jednak zarazem, że gdyby wniknęła w siebie i skoncentrowała swe siły mo-

ralne, mogłaby znaleźć na tyle mocy, aby przejść to koło i znaleźć się wspólnie z Narbuttem w tej sferze, w jakiej on teraz przebywa. Lecz na to trzeba chcieć.

A Anka nie może, czy nie chce.

W Narbucie widzi swego przewodnika, widzi tego, który jest od niej *wyżej*, który ją pociągnął za sobą, więc tylko patrzy w jego stronę z wdzięcznością.

Nitka przywiązania, która ogarnęła ją owej pamiętnej nocy, gdy wróciła z redakcyi, wykwita... wdzięcznością. Brak w niej tej przytulności, która stanowi podstawę wielkiego uczucia, brak w niej tych ramion rozwartych, w które chroni się istotę słabszą i przez to więcej ukochaną.

Anka chciałaby spotkać wzrok Narbutta, chciałaby mu wypowiedzieć swemi źrenicami, że idzie za jego radą, że już nawet zbiera plon, chciałaby zaczerpnąć w jego spojrzeniu siłę i moc na dalszą drogę, lecz Narbutt siedzi, zapatrzony w jakąś dal mistyczną, którą on tylko rozumie, i ma wygląd człowieka, przed którym otwarły się nagle drzwi grobowe, w którym lata całe spoczywała pusta, przygotowana na przyjęcie trumna. Otwarły się też drzwi i wionęło straszny, grobowym zapachem.

Zakołysała się w niem rozniecona mozolnie lampa mądrości życiowej.

I gasnąć zaczyna.

Na dnie trumny tymczasem rozświetla się jakieś inne, dziwne światło.

To—zdaje się widzieć Narbuta i to światło odbija się w jego źrenicach straszny, tajemniczym blaskiem.

W ostatnim pokoju, na zwykłym miejscu, przy biurku siedzi Zagrodzki.

Siedzi tak, jak zwykle, nie zdjawszy jasnego palta, siedzi i pisze.

Właściwie jednak nie pisze, tylko kreśli zygaki po papierze drżącą od zdenerwowania ręką. Nie pozwolili mu wyjść na ulicę i slaniać się przed afiszami. Zresztą, on sam już dzisiaj czuje całą niewłaściwość podobnego postępowania. Jak lalka, jak bożek z Taiti, siedzi w swym fotelu, a dokoła niego wre cały ruch, cała robota wyborcza, prowadzona bynajmniej nie dla jego wartości osobistej, lecz dla zupełnie pokątnych celów.

Czuł to wybornie, dziwnie bowiem wysubtelnił się w nim w ostatnich czasach ten zmysł odgadywania istotnej sytuacji, w jakiej się znajdował. Starał się jednak od czasu do czasu brać niby udział w tym ruchu, który dokoła niego wirował—wstawał, rzucał przez drzwi pytania, lecz czuł, czuł to wybornie, iż jest manekinem, którego wyśrubowano na wyżyny.

I co było najstraszniejsze, to właśnie dla tego, że był... manekinem.

Nikt sobie, zda się, nie zdawał sprawy, co czuł w tej chwili ten cicho siedzący manekin, najwygodniejszy kandydat dla „partyi.” Jemu zaś zdawało się, że ktoś powoli, z całą świadomością, zdziera z niego odzież, i że wystawiają go na jakieś urągowisko całej masy, która tylko czyha, aby rzucić się na niego i siec go urągowiskiem i lodem plwocin, pełnych zatrutego jadu.

Przed nim, nad mapą Galicyi i Lodomeryi, żółtą i od much upstrzoną, obok szafki, w której drzemie kilka tomów rozmaitych encyklopedyj (źródła przygodne wiedzy reporterskiej), okrągła tarcza zegara nieubłaganie macha ramionami wskazówek, ciągle zataczając kola.

Zagrodzki mimowoli na ten zegar spogląda. Sprzął z nim swe istnienie, gorączkę swego zwycięstwa, lub porażki.

Każde posunięcie wskazówki, to szmat dnia, w którym on tak krwawi swą duszę, pod dumne chłosty ją wlokąc.

I chciałby chwilami, aby ten dzień straszny, ten dzień niemilosierny, skończył się jaknajprędzej, to znów chciałby klęknąć przed tą tarczą zegaru, i on, starzec siwowłosy, zamiatać białą brodą proch ziemi w błaganu kornem powolnego obrotu wskazówek.

Bo przez ten czas nazwisko jego może więcej razy, może jeszcze więcej razy pojawić się w sali wyborczej.

Jego nazwisko!

Tych kilka liter... tam... w sali ratuszowej. Niosa je setki ludzi po tych zbłoconych schodach, mają je na ustach setki ludzi, mrowiących się dokoła ratusza.

I znów Zagrodzki prostuje z dumą kark pochylony. Ambicya go przepaja całego, owiewa słodkiem kadzidłem. On przecież jest kimś, skoro jego nazwisko...

Nagle drzwi się uchylają.

Wsufa się przez nie Anka i równocześnie słyszy zmieszane głosy:

— Żydzi... Żydzi zdradzają...

Zagrodzki błędnie jeszcze więcej i wstaje z za swego fotelu, jakby podcięty szpicrutą.

Żydzi?

Ależ zawarli przecież sojusz bardzo ścisły i mieli iść ręką w rękę. Obiecano im, w razie porażki, pewne także ustępstwa. Tajemnica wielka, lecz pewna. I teraz zdradzają!

Pot mu płynie z czoła.

Wstaje i kieruje się ku drzwiom.

Po drodze spotyka Ankę.

— Ach! to ty!...

— Ja, ojcze!

Dziewczyna bierze rękę starca, niesie ją do ust.

Czuje, iż jest zimna, jak lód.

— Ach, ojcze, ojcze!... ty jesteś chory, zlituj się...

Odsuwa ją, patrząc we drzwi błyszczącymi oczyma.

— Słyszysz... Żydzi zdradzają!...

Dochodzi sztywnym krokiem, otwiera je i wchodzi nagle w wir, hałas, ścisk.

Anka pozostaje sama.

I patrzy na ten fotel pusty, na to biurko, nad którym pochyla się całe dnie postać jej ojca i nagle wykwita przed nią cały lan zasianych zbożem pól, i łąk zielonych, i lasów, w zimie bogatych w srebrną, ciężką okiść, i lip wonnych, i akacyj, na trawnikach rozkwitłych w czerwonym, czarującym słońcu.

Ta wieś cicha, uroków pełna, a w niej...

Z pod baldachimu dębów żołknących, wśród lasu, szlakiem wrzosów różowych, duch jej się wysuwa, płynie w kryształ przestworza, bez przeszczeni, czasu. Drży, jak harfa eolska i w mgłę się rozspuwa.

W mgłę, wznoszącą się ponad łąkami i całą prześwieconą srebrem księżycą.

Wies!... o! wieś rodzinna!...

Drzwi skrzypnęły.
Powraca Zagrodzki.

Białemi, jak wosk śnieżny rękami — szarpie, gładzi, to znów szarpie brodę.

— W ostatniej chwili zawodzą!... — mówi cichym, drżącym głosem.

Podchodzi do biurka, przewraca na niem bez celu książki, papiery...

Anka patrzy na niego i razem z nim dąży wzrokiem za zegarem, który bez litości posuwa swe wskazówki ciągle naprzód.

Z pod baldachimu dębów...

I tam płynie czas, lecz jakże inaczej!

Szlakiem wrzosów różowych...

I tam mija życie, lecz człowiek je sam odmierz, nasyciwszy się niem, jak wonią kwiatu.

Ojcze! ojcze!...

Spogląda na nią, jakby sobie przypominał z ciężkością, jakby jej poznać nie mógł.

Nagle błysk całej skoncentrowanej siły.

— Ty znasz rabinową?

Anka doznaje chwilowego przestachu.

— Mówiłaś mi przecież, że byłaś kiedyś na urzędzanej przez nią wencie. Przypomnij sobie, posłałem cię wtedy z redakcyi... pisałaś sprawozdanie...

— Ach!.. żonę rabina.

— Tak, tak!... Otóż, siadaj do fiakra, jedź natychmiast do nich, do mieszkania i proś, aby rabin wpłynął na kahal, żeby Żydzi głosowali za mną. Rozumiesz!...

— Ależ ojcze...

— Czy tego dla swego ojca zrobić nie chcesz?

Drży cały, pochwycił ją za ramiona, jest tuż przy niej, patrzy prosto w jej oczy swemi choremi, mętnemi oczyma.

— Jedź, jedź!—prosi.

I gdy Anka ma tak przy sobie blisko tę biedną, smutną nędzę, tę przeżartą przez siebie samą istotę ludzką, z której ona powstała, ogarnia ją tak

wielkie wzruszenie, taki smutek, iż nie umie oprzeć się tej prośbie.

— Dobrze, ojcze!... pojędę!—mówi cicho.

XXIII.

Dużo złota, boazerya, złote parawany, złoty stół, na którym złoci się ogromna, wyniosła lampa.

W złoconych żardinierkach szerokie liście palm i innych roślin. Portyery ciężkie, aksamitne, zwiśają ku ziemi, jakby przytłoczone własnem bogactwem i przepychem.

Na spotkanie Anki wychodzi sama rabinowa, niska, chuda, siwa kobieta, grzeczna i uprzejma.

— Czem mogą pani służyć?

Ance głos więźnie w gardle.

Przyjechała tym fiakrem o błękitnej kokardzie, przyjechała, pełna litości nad zebrzącemi oczami ojca. Ustąpiła i sama weszła w koło już nie trosk drobnych, codziennych, ale poprostu sprzeciwów temu, co ludzie, bardziej uduchowieni, mądrością życia zowią.

I teraz czuje się nagle nędzna i śmieszna wobec pytających, czarnych oczów rabinowej, oczów gazelli, którą nagle z pustynnych równin zbudzono i przed niemiłą jej a nieznaną postacią Sfinksa zatrzymano na uwięzi.

— Kto pani! nie znam cię... czego przychodzisz macieć nam spokój!—zdawały się mówić te oczy sermiłki.

Spokój tu był rzeczywiście wielki.

Ciężki spokój ludzi, którzy uprawiają ezoteryzm, wyciskając z niego złocone namioty, rozpiętego w przedśionku kolumn świątyni.

W oddali słychać było tylko senne gamy, stłumione fałdami portyer.

I jeszcze z doniczek palm, świeżo podlanych, ociekała woda, spadając ciężkimi kroplami na porozstawiane po ziemi talerze.

Anka czuje, iż odpowiedzieć musi.

— Jestem Zagrodzka...

— Nie przypominam sobie...

Rabinowa stoi ciągle, jakby wyczekiwała już odejścia Anki.

— Miałam przyjemność widzieć panią na bazarze biednych izraelskich dziewcząt — mówi Anka i sama się dziwi sobie, że ten głos jest taki współsenny i zupełnie odmienny od jej rzeczywistego głosu. To nie ona chyba, nie ona.

— A...

— Potem napisałam artykuł, wyręczyłam ojca.

Twarz rabinowej zmienia się nagle, jakby jakiegoś kolorowe światło oświetliło ją od wewnątrz sztucznym blaskiem ogromnej uprzejmości.

— Ach!... tak... tak... bardzo pani byłam wdzięczna. Proszę, niech pani siada...

Anka zajmuje miejsce na aksamitnym, twardej fotelu, nieprzytulnym, niemiłym.

— Więc?

Pytanie gazelli nie schodzi z ocz rabinowej. Ona wie, że Ankę musiał pod ten zlocisty namiot, gdzie koczują na światowej przestrzeni dzieci Izraela, zagnać jakiś interes.

— Więc?...

Anka zbiera resztki rozpraszających się sił.

— Od ojca przychodzę...

Urywa, patrzy na ogromne róże, pokrywające dywan podłogi krwawymi plamami.

Czeka pomocy, czuje, że tonie w jakimś bagnie, na którym rozsiadły się rozdęte pychę i ambicyą ropuchy.

Te ropuchy o rozlatarnionych sztucznie ślepiach trzymają się na powierzchni znakomicie — ona tonie.

— Mój ojciec kandyduje...

— A!...

Już nic więcej nie może Anka wymówić nad te marne słowa.

I w tej chwili zdaje się jej, że skoro tu przyszła i skoro jej myśl ubiera się w dźwięki jej głosu, to i ona sama musi mieć w sobie coś z tego obłoczonego amalgamatu, na którym rodzą się i rozwijają pyszne, ambicyą polityki nadziane ropuchy.

I znów zapanowuje milczenie, przerywane tylko sennym jękiem gam i spadaniem ciężkich kropli wody na fajansowe talerze, porozstawiane troskliwie na lśniącej posadzce.

— Z pod baldachimu dębów żółknących wśród lasu... Szlakiem wrzosów różowych duch mój się wysuwa.

To myśli druga warstwa Anki, myśli pomimo wszystko i dąży, snuje się skrajami lasów, z których sypie się złoty liść dębów na różowy ogród wrzosów.

A ponad wrzosami drżą złotem i srebrem osiki.

Przezysty lazur nieba otulił las. Droga mknie szary zając, cień puszysty—przeleciał, nie dotykając piasku.

Rozstąpiły się wrzosi, pochłonęły cień, pokryły rdzawą różowością swych kwiatów ciche stworzonko, noszące, zda się, na sobie swą strwożoną duszę.

— Płynie w kryształ przestworza, bez przestrzeni czasu, drży, jak harfa eolska i w mgłę się rozsznuwa...

To spłynięcie się z przyrodą, ta chwilowa esencja prawdziwego uspokojenia, to zatracenie swej cząstkowości, stanowiącej tragedję naszego istnienia w ogromie bezmiernej Jedności.

To przychodzi na nią, opada ją, przepaja, pomimo otoczenia, pomimo poniżenia, z jakim tu weszła.

— Drży, jak harfa eolska...

Lecz rabinowa udaje teraz, że nie rozumie.

— Czem mogę pani służyć?

Nabrała pewnej ostrości tonu, wyprostowała się. Przypomina sobie, że raz, gdy jej mąż był silnie atakowany przez prasę z powodu jakichś nieprawidłowości metrykalnych, udała się z prośbą o względność do Zagrodzkiego. Przyrzekł — nie dotrzymał. Dlaczego ona teraz ma cokolwiek przyrzekać?

Pod złożonym namiotem koczującego Izraela, w cieplej atmosferze palm, sączących wodę z wysokości żardinierek, przebiega żar nienawiści i tajnego żalu.

— Pani ojciec dziś kandyduje?—pyta wreszcie, wyczuwając w ciszy to żądanie Anki, rozpięte, jak mgła w przestrzeni.

— Tak i polecił mi być u pani...

— Cóż ja mogę?

— Pani może wpłynąć na męża swego, aby ten znów użył swej przewagi nad kahałem... Nie wiem, ale tak ojciec mówił...

I słowa, i głos, wszystko staje się dla Anki coraz bardziej obce.

— Ja wątpię... ja nie wiem — tłómaczy się rabinowa — mąż mój dał sobie słowo nie mieszać się do wyborów... zresztą...

Wstaje.

Tafta pod suknią szeleści dziwnie, posuwa się ten szelest po krwawych różach dywanu, ku ciężkim fałdom portyery.

— Izidor!... proszę cię na chwilę.

Wyniosła postać, o czarnych oczach, zupełnie podobnych do oczów żony. Ręka biała, dziwnie delikatna, wyciąga się ku Ance.

— Panna Zagrodzka... wiem, słyszałem z mojej kancelaryi, gdzie pracowałem. Ale moja żona powiedziała prawdę. Usunąłem się od polityki. Nam, duchownym, nie mieszać się w to, co gubi Galicyę. Jesteśmy bezsilni, aby powstrzymać, więc choć milcząc protestujemy.

Lecz Anka czuje, że tu nie przeszedł ten duch mądrości i uspokojenia, który każe ludziom wejść na wyniosłość krużganku i ztamtąd patrzeć przez mgłę łez i przebaczenia na harce konwulsyjne dookoła kości rzuconej między dziwne, rozżarte namiętnością i pychą dusze ludzkie. Nie, ten duch uspokojenia nie wszedł pod namiot zlocisty i nie wionął na palmy, skarłowaciałe w nieznanym pułstynnego piasku.

Tu wiał obojętnością musową, zdawkową, konwenansową chęcią wytłómaczenia się z niechęci niesienia pomocy tam, gdzie nie wskazywał interes i korzystać całej rasy.

— Ojciec jednak i cała redakcyja twierdzą, że kilka słów ze strony pana...

Rabin rozkłada ręce.

— Dałem słowo... sobie... żonie.

Lecz nagle odzywa się dość słodko głos rabinowej:

— No... Izidor... ten jeden raz...

— A potem sama mi wyrzucać będziesz. Zresztą ja właściwie nie mam żadnego wpływu. Oni robią, co chcą.

Coraz goręcej w pokoju, dusza Anki omdlewa od tego zwleczenia ją z krużganku świątyni pomiędzy hordeę gryzących się o szmat ociekłego ścierwa — dusz.

— Może jednak... zechce pan zatelefonować...

Widzi przed sobą nagle z całą dziwną wyrazistością wybladłą twarz ojca, tam, na pręgierzu przed biurkiem, jego oczy dziwne, szklane, straszne.

I obok niego, jak cień, szary siewca, który idzie, lezie, rozsypuje swe życie bez celu na ugor, na którem nic zejść nie może, nie śmieć.

— Ha... zatelefonować mogę... ale...

Rabin znika.

— On zatelefonuje... — uspokaja Ankę rabinowa.

Lecz ona już nawet tego nie słyszy.

Wie, że spełniła to, co przeciętny człowiek nazwałby wypełnieniem obowiązku dobrej, przywiązanej córki. Teraz odzyskuje wolność i może z niej skorzystać...

Wychodzi szybko z pod fałd ciężkich portyer i wydstaje się na ulicę.

W pył, w kurz, w stęchliżnę nagromadzonych ciał, kamieni, przekonań, podłości i kłamstw.

Zostawia fiakra z błękitną kokardą, wdzieczną się na zatłuszczone odzieniu woźnicy, i szybko biegnie ku strudze słońca, która przecina ulicę.

— Na chwilę w jasność, w światło!

W fałdach swych szat, zda się, zabrała senny jęk gam i miarowy loskot opadającej ze złoconych żardinerek wody.

Pot jej wystąpił na czoło, wlecze się koło swej duszy, którą pragnie napoić esencją światła i ciepła. Zimno jej, przeszła cięższą chwilę, niż nawet na pozór zdawać się mogło.

— To się nazywa... obowiązek—myśli.

A jednak jest pewna rozkosz w przebyciu takich chwil, nawskróś bolesnych. Odczuwa się później silniej to, co przyjmowaliśmy jako stan obojętny. Przez porównanie wyradza się ocenienie szczęścia, które mamy w sobie...

Tak myśli Anka.

— Och!... zobaczyć coś pięknego... odpocząć?...

Podnosi oczy.

Obok niej niewysoki murek, a z niego wyrasta krata.

Dalej, kościółek nieduży, blado-żółty, cofnięty w głąb, ze ścieżką fliz wyszlakowanych, prowadzących do nowych, jasnych drzwi, zamkniętych szczelnie o tej porze dnia.

Słowem, obraz banalny, zwykły, pełen ciszy i odpoczynku, jakby świątecznego.

Lecz na lewo trochę, na tle jasnej ściany kościółka, jakby czarowne zjawisko lekkie, niebywale przejrzyste i słodkie.

To włoska akacja kwitnie liliowemi kłębami kwiatów, które rozwiewnie, jasno opadają wśród blado-zielonych, drobniejszych liści. I nic nie zdoła oddać wdzięku tego smukłego drzewka, nic nie zdoła odtworzyć czaru liliowej barwy, jakby pozbieranej z tonów włoskiego nieba o spokojnym nadmorskim zachodzie.

Jest to niewinny wdzięk rozigranych fałdów lekkich szat kobiecych i blask Adryatyku, gdy z sza-

firu przechodzi w błękit i kona w rubinie refleksów słonecznych.

Z tego bukietu akacyowych kwiatów płynie niezwykle, delikatne Piękno rzeczy przezczystych, dowodów, iż człowiek dziełami swojemi jest nędznym i smutnym i drobnym, zapracowanym robakiem, wobec jednego liliowego kwiatka, podanego mu wśród deszczu zielonych, drżących listków.

Anka miłośnie obejmuje wzrokiem akację, pieści ją, tuli, chłonie duszą całą. Spożywa ją, jak chleb ze stołu magnata natury i pije, jak znużony ptak kryniczne srebro strumienia.

I ogaraia ją wielka pociecha.

Jest to przeświadczenie, iż w niej samej tkwi ta solidna, silna, niemal wrośnięta w nią istota jej szczęścia. Źródło, odradzające w niej szlachetną rozkosz łączenia się z najczystsza częścią duszy Wszechświata, bije w niej z mocą źródeł wieczystych, ukrytych wśród ciemni puszczy nieprzejrzanych. Gdy zamąci je jakiś niespodziewany powiew wichru, niosącego śmiertelne, zgniłe wonie z poza rozpadających się w bagno światów, to tylko zmacony jeden krag, nic więcej.

Reszta, dalsze kręgi srebrne, czyste, przezrocze, pełne chłodu orzeźwiającego i nieśmiertelnej potęgi.

— Tak — myśli Anka — mogę znów wrócić do stojących wód, ziejących zatrutemi gazami rozszalalej pychy.

— Mam bowiem w sobie świeżość dni jasnych.

— Seledyn liści, fiolet kwiecica.

— I całe dobro i piękno ludzkiej duszy, skąpanej w prądzie pierwotnego swego bytu.

— I spokój mój własny, równy i czysty, ponad którym wieją wichry, druzgocące niepokojem całe tłumy.

— A ponad moim spokojem szaleją i nie do-

tykają go nawet krajem lopocących swych skrzydeł, z których ocieka błoto i czasem lzy krwawe...

— Duch mój bowiem zrodził się z wielkiej, bezkresnej rezygnacji, którą mają w sobie rozpostarte złotemi skrzydłami smutne zachody słońc nad rzykami równin.

— Tuli się w cień i czeka na Objawienie Prawdy wieczystej, nie słysząc, nie widząc odruchów konwulsyjnego miotania się istot, żyjących treścią pierwszej warstwy, w której tak łatwo legną się ro-puchy.

Więc wróć do nich, do ludzi.

Wróciła do redakcyi, przebijając się z trudnością przez coraz większe gromady ludzi, otaczających dom redakcyjny.

W redakcyi jednak samej gorączka trochę osłabła. Znużeni, zmęczeni, tulili się redaktorowie i ich adherenci do biurków, do sof, do krzeseł, Anka przeszła mimo, szukając oczyma Narbutta. Nie było go. Odczuła jakby zawód, jakby pustkę nagłą.

Gdy był przy niej, nie zwracała się ku niemu, gdy znikł, czuła pustkę.

Zagrodzki siedział ciągle na swoim krześle. Wziął tylko na kolana cylinder i laskę, tak, jakby gotował się do wyjścia.

Ale wyjść nie miał zamiaru, ani siły. Drżał teraz cały, dwie czerwone plamy wystąpiły mu na policzki.

Gdy Anka weszła, spojrzał na nią szklanym wzrokiem.

I znów zdawał się jej nie poznawać.

Byłam u rabina.

— A... po co? po co?

— Wszakże mnie tam sam posłałeś... chciałeś, aby wpłynął na kahał.

— Tak... tak...

Zdawało się, że ktoś pocisnął jakąś ukrytą sprężynę.

— I cóż? i cóż?...

— Telefonował.

— Słyszałaś, co telefonował!

— Nie.

— To źle, trzeba było kazać przy sobie telefonować... im nigdy wierzyć nie można.

W redakcyi, która zaczynała wpadać w martwość, zrobił się jakiś ruch.

— Zobacz... co tam... ja nie mogę.

Z trudnością chciał powstać. Czepiał się biurka, ręce mu drżały bezustannie.

Anka ku drzwiom podeszła.

Z wytworną grzecznością wprowadzał sekretarz jakiegoś pana, zaleknionego i trochę pokornego.

— Oto... ten pan ma jeden głos, chciałby go oddać!...

— Proszę... proszę... weź pan fiakra i zawieź pana wyborcę na ratusz.

— Służę panu dobrodziejowi.

Za chwilę mignęła pod oknami redakcyi błękitna kokarda.

Dwukonne lando wiozło „jeden głos“ i lśniący cylinder pana sekretarza.

Widocznie już robiono ostatnie wysiłki, a każdego wyborcę witano z honorem i niezwykłą uprzejmością.

Anka zamknęła drzwi i do ojca się zwróciła.

— Ojczel! — wyrzekła łagodnie — jesteś chory, widocznie nie jadłeś dziś nic jeszcze.

— Nie mogę... nie mogę...

— Napij się choć herbaty, zjedz cokolwiek...—
prosi, przejęta troską pocziwą o to nędzne ciało,
które pycha nerwowa tak gnębi.

Lecz on wstrząsa ciągle głową.

— Nie mogę... nie mogę...

Oczy szklane, straszne, śledzą z wysiłkiem
wskazówki zegara.

— Niedługo... niedługo...—szepce ledwie dosly-
szalnym głosem.

Anka zarządza przyniesienie herbaty, sama na-
lewa, podaje cukier i z ciepłym wdziękiem skłania
ojca do przelknięcia kilku kropel ciepłego napoju.

W redakcyi już niema prawie nikogo.

Rozchodzą się wszyscy powoli, oczekując wie-
czoru.

I całe miasto zamiera stopniowo, kolejno, jak-
by wyczerpane, jakby starało się nabrać tchu do
ostatniej walki.

U żłobów pełnych i mniej pełnych istoty ludz-
kie ładują w swe ciała paliwo, potrzebne do pod-
niesienia stopnia energii, którą wyładują na cel tak
drobny i żaden, że stałby się śmieszny, gdyby
w gruncie nie był tak tragiczny.

Powoli następuje martwota zupełna.

Telefon przestaje szarpać się i rzucać. W dal-
szych pokojach bosy chłopak leniwie zbiera w roz-
łożone na posadzce „Figaro“ śmiecie i okruszyny
kanapek, korki i niedopalki cygar.

— Połóż się, ojczu — prosi Anka — odpocznij.

Lecz on nie chce zejść z zajętego stnowiska.

— Nie mogę,

Uparł się.

Siedzi ciągle z cylindrem i laską na kolanach,
jakby się gotował do jakiegoś efektownego wyjścia
na świat, przed którym ukrył się pod temi ścia-
nami.

Anka wie, że teraz będzie spokój względny
przez godzinę. I w oczach jej duszy staje znów
druga postać, szamocząca się w tej chwili w szalo-
nem cierpienia wielkiego zbudzeniu.

To Stalewski.

Pozostawiła go, śpiesząc do ojca, pozostawiła
własnym siłom, która są jeszcze bardzo biedne i bar-
dzo słabe.

— Pójdę, może mu jestem potrzebna, może
w tej chwili stoi znów na rozstaju i zwraca się ku
dawnyemu ścieżkom.

Pójdę!

I przyznać się nie chce, nie śmie, że rwie ją
w tamtą stronę coś niewytlómaczonego, coś bardzo
artystycznego i zarazem ogromna, serdeczna tę-
sknota.

— Pójdę!

Jak cień szybko, lekko, jeszcze z wizją akacyi
liliowej w oczach, biegnie Anka w stronę willi Sta-
lewskich.

XXIV.

Willa zdaje się tonąć w jakimś oparze złoci-
stym, tok słońca pada na nią snopami promieni.

Anka otwiera bramkę i wsuwa się do ogródka.

— Gdzie pan? — pyta pochylonej nad grządką-
mi narcyzów służącej.

Lecz z głębi altanki, oplecionej dzikiem winem,
wydobywa się głos:

— Mąż mój maluje portret!

Nic więcej, tylko tych słów kilka.

Lecz jest w nich nadzwyczajna intonacja, rodzaj tryumfu, rozkaz — wszystko.

Anka chwileczkę czuje dziwne zmieszanie.

— Więc mimo wszystko, powrócił na dawną ścieżkę — myśli z bólem.

Lecz wzrök jej pada na wille, na drobne postacie dzieci, bawiące się w złotych plamach słonecznych, przeciekających przez gałęzie drzewa, na ten cały ciężar, wlokący się u stóp tego człowieka i ogarnia ją wielkie uczucie litości.

— Galernik! — myśli, kierując się z wolna ku domowi.

Schodki, prowadzące do drzwi wejściowych, mają półkolisty zakręt. Ze stopni widać, co się dzieje wewnątrz pracowni.

Na fotelu siedzi dama dekoltowana, w czarnej, aksamitnej sukni, obrzucona klasycznym futrem z niebieskich lisów.

Uczesana, a raczej wyczesana sumiennie, wysoko, z włosami lśniącymi, w uszach ma duże butony brylantowe, starannie na tę uroczystość wyczyszczone irchą i szczoteczką. Siedzi, jakby z ręką opartą na fotelu. Na palcach lśni tęczą pierścionków. Palce krótkie i płaskie, są za krótkie na ich mnogość. U pasa zwisa wachlarz z piór strusich. Na ustach gra bezmyślny uśmiech. Całość ma coś z pawia, coś ze służącej, niosącej feretron na urozystej procesyi.

Tło, z purpurowej starej makaty, bynajmniej nie harmonizuje z tą, przez fryzjera uczesaną głową. Makata domaga się profilu bladego, o delikatnych liniach, o rzęsach długich, opuszczonych na oczy, jakby w niemem oczekiwaniu na objawienie wielkiej tajemnicy. I szyja długa, łabędzia, wygięta białą linią, winna się odciąć na tle purpury.

Przed nią, po za stalugą, Anka wyczuwa mękę Stalewskiego.

Jakby wywołany jej myślą, wychyla się z po za obrazu.

Jest bardzo blady i zmęczony. Postarzał się w tej pracy. Oczy podsiniałe, usta niemal zanikły, twarz wyciągnięta. Smutnym, zakłopotanym uśmiechem wita Ankę:

— Ja... zaraz... przestanę... — mówi, jakby usprawiedliwiając się.

Lecz ona, litości nad jego męką duchową pełną, przechyla się przez poręcz schodów.

— Przeciwnie... maluj pan dalej... proszę!...

Wpatruje się teraz w damę i myśli.

— Przecież z niej możnaby wydostać pierwiastek jej duszy. Tak, lecz czy ona chciałaby zobaczyć się taką, jaką jest w istocie. Odrzuci obraz, zniszczy go...

Cofa się Anka do przedsionka i powoli wchodzi do swego pokoju.

Natychmiast słyzy, iż Stalewski zagna się ze swym modelem. Dama pozostaje sama w pracowni dla zmienienia toalety. W przedpokoju robi się ruch, pokojówka biegnie do pomocy, nianka z ogródka każe podjeżdżać czekającemu zamkniętemu landu, Stalewska wychodzi z altany i kieruje się ku domowi.

Anka rzuca się na łóżko, kryje twarz w poduszki i chwilę leży tak bez ruchu, wyczerpana, chcąc nabrać siły do dalszej walki, do przejść, jakie ją czekają.

Otocza ją i dławi ta drobnostkowość życia. Nie jej własna, lecz tych, którzy stanęli przed nią z duszą swoją, a ona, naprowadzona na tę ścieżkę przez Narbutta, w duszę tę ich wniknęła.

Ojciec, Stalewski; Piotruška i tyle, tyle innych. Cały korowód ludzi czynnych, zaplątanych w koła.

roztoczone przez bieg istnienia. Nietylko oni, ale ich czyny, i to wszystko tłoczy się ku niej, czegoś żąda, domaga się, każe zająć się, zapomnieć o sobie...

A tu, na dnie jej własnej duszy, jakiś zamęt niezrozumiały, niejasny. Coś, jakby brak równości w tem zajęciu się głębią tych wszystkich dusz. Jedno zwłaszcza przeważa i zaczyna wyciągać ku niej rozmodlone ręce...

Przenika ją dreszcz.

Czuje, że ktoś jest obok niej, iż ktoś patrzy na nią w tej chwili błagalnie i przez tafelę lez.

Walczy ze sobą, aby nie podnieść głowy, nie spotkać tego wzroku.

A przecież oprzeć się nie jest w stanie.

Podniosła głowę.

Obok niej stoi Stalewski. Złożył ręce, jak do modlitwy, jakby ją chciał przebłagać za tamto odstępstwo. Ona bezwiednie ku niemu wyciąga serdeczne i dobre ręce.

— Za co? za co? — pyta.

— Zgrzeszyłem, wróciłem do dawnego. To już ostatnie... więcej nie będę...

Ona czuje wielką radość, niepomna już na ową przyczynę katorgi, w której się ten duch obraca.

— Tak... tak... — mówi radośnie.

On siada na niskiem krzeselku, prawie u jej stóp.

— Całe noce, całe dnie myślę nad słowami pani. Z chaosu wylania mi się jasność coraz doskonalsza. Chwilami zdaje mi się, że rozumiem, że wiem, że już czuję. Ciężkie mam jeszcze skrzydła, ale one mi się rozwijają...

Błękitem ócz zmęczonych, biednych, wpatruje się w Ankę.

— I nie gardzić mną!.. nie gardzić!..

A potem dodaje:

— I nie opuszczać!..

To garniecie się ku niej z taką wiarą przejmując ją serdecznem rozrzewaniem.

— Nie! nie, nie opuszczę! — odpowiada, a głos jej ma nadwyzwyczajną miękkość przeogromnej, kobiecej dobroci.

Jakież on zmieniony, jaki wielki w tem upokorzeniu, z którem przychodzi ku niej tak szczerze i prosto.

Nie przeczuwała w nim nawet tej wielkości charakteru. Golgotą wszedł na szczyt, na który wznieść się może dusza twórcza. Spojrzał na siebie i na dzieło swoje. Ocenil je nie w chwili rozłamu, kryjąc w sobie to, co mu się brutalnie przed oczy rzuciło, lecz z tej godziny bólu wyszedł ogromnie jasny moralną siłą odczucia swej dotychczasowej nicości.

I do rąk jej się tuli teraz, bo jego dusza była w istocie rzeczy tkliwa i trwożna. Ztąd to wzruszenie, jakie ich oboje przejęło, jakby jednym prądem. W tym pokoiku małym i biednym ci dwoje przeżywali najwspanialszą, magnacką chwilę swego życia. Łączyli się w łagodnem wzruszeniu dusz, a myśli ich dążyły ku sobie najszlachetniejszymi liniami uczuć. Wierzenie głębokie i zaufanie, z którem on szedł ku niej, pragnąc idee, przepajające jego ducha, zamienić w czyn, nabierało światła, rozjaśniającego przestrzeń, w której z początku niepewnie i lekliwie obracać się zdawali. Teraz w tem świetle intencje zaczynały dążyć ku wyżynie czynów i czuć było w tem siłę wielką, nieprzepartą, która zdruzgoce raczej wszystko na drodze, a nie zatrzyma się w pochodzie ku prawdzie i słońcu.

— Mam myśl... — mówi Stalewski — mam myśl, zdaje się, dobrą... lecz lękam się...

— Czego?

— Wyśmieją, wydrwią. Powiedzą: Porwał się nie na swoje dzieło! nasładowuje nas!... Tego się lekam...

Wstał i szybko zaczął chodzić po pokoju.

-- Nasładować ich nie potrzebuje! Mam to samo w duszy, co oni. Tylko... tylko...

Urwał, załamał ręce, bruzda przecięła mu czoło.

— Powiedzą, zem... stary!

Słowo to padło jak kamień, nagle z po za okna rzucony, i zatrzęsły się prawie od niego ściany willi.

— Za stary!...

Bolesny uśmiech skrzywił mu usta. Anka w kraś swej młodości, pełna wybuchów pierwocin artysty, odczuła z całą siłą i wrażliwością ten tragiczny krzyk odsuwanego za nawias artysty.

— Za stary!...

— A przecież — podjął znowu Stalewski — nie jestem stary, bo to, co wyrzuciłem z mej twórczości, to były przecież... plewy!... Ziarno pozostało nagromadzone i zdolne do wydania kwiatu. Ja czuję, ja wiem, że mógłbym z tego ziarna wybujać wspaniałością najwyższą...

Twarz mu pokrył rumieniec. Szklivo oczów smutnych zmieniło się w rozjarzenie jakieś dziwne i tryskające siłą.

— Więcej mam właśnie od nich możności zrozumienia piękna, bo przez te dni kilka przeżyłem całe moje długie życie, a to liczy się za szkołę duszy, o jakiej oni, te dzieci, nie mają pojęcia. Smutek? Co oni wiedzą ze stanów duszy? Zgadują, zbierają z nas wspanialsze uczucia i nastroje, bo młodzież płacze, ale ich łzy nie sięgają dna, spływają jak rosa!.. Nasze łzy ciężą, spadają... my wiemy, co są szlachetniejsze stany duszy, nie intuicyą, jak oni, nie z drugiej ręki, nie od nas i przez filtr naszych wrażeń, lecz przetrawione przez nas sa-

mych, nas starych, w bólu całego życia splawione i ochrzczone naszymi zawodami i męką!...

Stał przed płótnami Anki i patrzył na nie przez chwilę.

— Nie mówię tego o tobie, Anko! — zaczął znowu — na taki, jak twój duch, złożyła się nie wiwisekcyja twego życia, ale wieki całe, bo ty żyjesz w Objawieniu i, jak sama mówisz, na krążanku stanęłaś, z kąd na szczyt niedaleko... ale ci inni, ci pyszni, ci młodzi, którzy nie żyją falą spokojną, ale burzliwemi płaszy roztańczonej, żywiołowej potęgi! Wrażliwi są... ztąd większa łatwość i podatność do odtwarzania tego, co pęd życia niesie...

— Wrażliwi są...

— Tak — myślała Anka — on ma słuszość. Ażeby zrozumieć nastroj jakiejś chwili, trzeba już tę chwilę przez serwę momentów podobnych przeżyć...

— Gdy nas ogarnia ból, wywołany przez jakieś cierpienie... — zaczyna znowu Stalewski — czyż wtedy jedynie cierpimy tym jednym bólem? Nie, jakby na dany znak przez żalosne dzwony, powstają w nas wszystkie przeżyte cierpienia. I przeżywamy je ponownie, ale z coraz większą siłą bólu... Tylko...

Anka siedzi zapatrzona, zasluchana.

— Mów! mów!

— Tylko im silniejszy ból, tem szlachetniejszą przybiera formę, czyni nas więcej zbliżonymi do czystości kryształu, przez który promienie wrażeń rozkładają się w tęczę. Czy nie tak, Anko?

Zamiast odpowiedzi, Anka spogląda na Stalewskiego radośnie. Teraz już ona, stojąc na straży świątyni, przeczuwa chwilę, w której rozpadną się wrota i jasność ogarnie ich oboje, unosząc w świat prawdziwego Piękna. W oczach jej Stalewski czuje, rozumie tę słodką radość, która ją ogarnia.

— Czy sądziłaś, Anko — pyta jakimś cichym,

stłumionym głosem — że we mnie nic już niema? nic?

— Nie — odpowiada Anka — tylko dusza pana była taką mgłą błyskotliwą pokryta, że sił nie miałam, aby przez te pstre lachmany wnikać w jej głąb.

— Zkąd jednak teraz tę siłę wzięłaś?

Przez oczy Anki przesuwa się jakaś dziwna, mglista postać.

Coś ma z kształtów Narbutta, promienniejsza jest jednak i tak bardzo delikatna.

— Zacerpnęłam ją nawzajem z innej, już zbudzonej i uświadomionej duszy.

— To Narbutt! — pada nagle z ust Stalewskiego, czyniąc na Ance wstrząsające wrażenie.

Porywa się z miejsca.

— Zkąd pan wiesz, że to on?

— Nie wiem... ale czuję, że on w tej chwili przemknął się pomiędzy nami.

I są tak oboje pewni, że nikt inny nie był tą formą delikatną i rozwiewną, która naciskiem swych myśli wywołała cały szereg dziejących się obecnie między nimi faktów, że Stalewski nie czeka potwierdzenia. Anka nie potwierdza. Narbutt jest pomiędzy nimi, żyje, rozprasza się mgłą swej niejawnej istoty w ich słowach, stanach ich duszy i w tem, co dalej czynią.

— Tyś pierwszy mi rzucił słowo „stary“ — szepcze Stalewski ku widmowej potędze — lecz tyś sam zdjął tylko szablon pocisku, jakim bezlitośnie szarpicie swe dłonie. Mów: za mało wrażliwy, mów: ślepy, głuchy, lecz nie mów nigdy: za stary! Bo w zamian odrzucić ci mogę: tyś... za młody... więc także jeszcze ślepy i głuchy!

Anka stoi strwożona.

Czuje, że jest teraz łącznikiem między nimi dwoma, ona, która nie należy do żadnego z tych

zrączych się wzajemnie światów, ona, która ma stworzony sama przez siebie świat z promiennych kół jej własnego ezoteryzmu i kultu Piękna. Lecz tych dwóch — wzajemnie, zamiast tworzyć harmonię, ranią się i drą swą siłę na strzępy. W duszy Stalewskiego Anka dostrzega teraz na dnie całe lany kwiatów świeżych, gotowych do rozwinięcia, tkanych klejnotami kielichów. Z miłością radosną zwraca się ku nim i ma tylko jedno pragnienie, aby te kwiaty zajaśniały jaknajszybciej, rozsypując dokoła brylantowe blaski długo w przechowaniu więziennem stygnących klejnotów.

Lęka się teraz, czy brutalność Narbutta nie skazi delikatności tych kwiatów, które nagle z pod powierzchni bagnistej, na której rozsiadły się ropuchy świegocącego samolubstwa, wydobywają się ku słońcu, ku zjawie życia.

I pragną być blaskiem w smudze świetlanej.

I pragną być jednym tonem w harmonii Piękna.

I pragną być wstęgą kolistą, opasującą cały łan cierpień szlachetnych.

I pragną być same takim cierpieniem, w którym dusza ludzka uczy się kochać, konać i przebaczać własnemu ciału, że się ku niej wzniesć nie jest w stanie.

Bo z ciała tego uniesie piękność linii, barwę i rozkosz omdleń i leż cichych.

Ciału pożyczycy swych skrzydeł i nauczy je być pięknem w cichym spokoju sennego kwiatu.

Pomiędzy wizję groźną i bezlitością Narbutta a Stalewskiego weszła Anka ze słodczą swoją.

— On błądzi — wyrzekła — on nie wie... przekonaj go pan, iż chcąc dla dobra Piękna poświęcić siebie, szedł błędną drogą, naucz go, że w tobie kwitną całe lany nieznanymi im kwiatów o tak potężnych blaskach i woni, że ich młode, nieuksztaltowane dusze potęgi takiej mieć nie będą w stanie.

Po twarzy Stalewskiego przebiegły płomienie.

— Chcę, pragnę... ale mnie zgniotą, nie dopuszczają!...

Anka czuje, iż Stalewski ma słuszość.

Barami przywarli do siebie z taką siłą, iż rozwarć ich łańcucha nie jest w stanie. Otoczyli ołtarz Piękna duchowego i bronią dostępu. Krzyczą wielkim głosem: my! my!...

Dokoła nich kilku im podobnych porusza miarowo kadzielnice, pełne upajającego dymu.

A oni wołają prawie epileptycznie: my! my!...

Tak!

O tem wie Anka.

Lecz wie także, iż przed nią rozstąpią się szeregi, bo ona tam ma swoje miejsce, którego, choć nie zajmuje, żyjąc swoim życiem, to przecież ona jest „młoda“, i jako taka, już młodością swoją do nich należy.

— Chciałbym — mówi Stalewski, a ręce tylko kurczowo zafamuje, jakby ogromną męką wewnętrzną zdjęty — chciałbym... jeżeli nie dla siebie, to dla innych... dla tych, którzy tak, jak ja, dostali policzek starości, a mają w piersiach skarby całe i lekką się... i nie śmia...

Skrzydłami rozpostarta u progów świątynnych, dusza jego samotna spowiada się Bogu. Stokroć ra-

zy mniej winna od wszystkich mniej winnych. A jednak omdlewa z trwogi i czeka u progu...

To słyszy Anka, słyszy i widzi tę duszę rozskrzydloną, całą w poświęcie drgających, cudownych blasków, leżącą na stopniach świątyni.

A przed nią tłum zwarty woła w pysze.

W uniesieniu.

W bezwzględności.

W bezlitości.

W szale:

— My!... my!...

Przez umysł Anki przesuwa się dziwna myśl. Chwilę z nią walczy, ale chwilę tylko. Bo choć to projekt czynu, złożonego z kłamstwa, oszustwa i podstępstwa, lecz cel jest jasny i dobry, a ku celowi oczy Anki są zwrócone. I zarumieniona, szczęśliwa, zbliża się ku Stalewskiemu.

— Panie Janie... — mówi szybko — posłuchaj mnie pan... namaluj swój obraz, to dzieło, które musisz stworzyć, ażebyś sam się przekonał, kim jesteś w istocie...

— Tak... tak... — mówi Stalewski — muszę! w ten sposób zerwę ten strupieszwały całun, który dźwigam na sobie! przekonam się... bo chwilami jeszcze omdlewał z trwogi... zdaje mi się, że nie mam sił...

Muszę! muszę!...

— Tak... i dlatego, aby znów jakaś brutalna dłoń nie rzuciła na ciebie szyderstwem i lekceważeniem, pan wystawisz swój obraz pod moim nazwiskiem...

— Pod twoim nazwiskiem, Anko?

— Tak, na krótki przeciąg czasu, na dzień, na dwa... Dokąd nie wzniesie się hymn uwielbienia: tylko młodość! młodość mogła wydać takie silne technienie!...

Twarz Stalewskiego rozjaśniła się przeogromną, szaloną radością.

— Tybyś chciała, Anko? ty się na to zgodzisz?...

— Tak... proszę! weź pan moje imię, czyń z niem, co zechcesz... proszę!...

Ręce ku niej wyciągnął.

— Jakaś ty dobra... jakaś ty dobra!

Cała twarz mu jaśniała i bila aż młodością. Oczy błyszczały przezroczeniem szafirów. Od srebrnych włosów bila jakby jasna otęcz. Był młody, silny, pełen wiary.

— Tak! tak... ukorzą się przed dziełem, porwą je w ramiona, nosić będą, jak arkę, jak cenną amforę, pełną najrzadszego wina... Poić się niem będą i wołać: to nasze!... to wykwitło z naszych łanów; z czarnych pól, z naszych jaźni!... A potem, potem...

— Potem — kończy Anka — przyjdzie chwila nieoczekiwana, moje imię opadnie w cień i ukazesz się pan takim, jakim jesteś, jakim cię wydobyłam z pleśni mojem skromnem, ubogiem pragnieniem. Nastąpi krzyk zemsty za podejście, lecz dzieło pozostanie w swym tryumfie wielkie i nieobalone!

Ręce ich złączyły się.

Uczucie, rwące ku górze ich serca, ogarnęło ich olbrzymią mocą. Zdawało im się, że stopy ich nie dotykają ziemi. Tonęli wzajemnie w swych żrenicach. Nietylko wiara przepajała ich całych, ale Nadzieja lekko i subtelnie wionęła ku nim, jakby esencja ich myśli. Odcięli się niejako od zewnętrznego świata na chwil kilka w natężeniu najszlachetniejszych, cichych pragnień.

Melancholia życia była od nich daleko. Rozpłynęli się cali w radosnej stronie istnienia.

Mądrość życiowa ustąpiła miejsca płomiennemu porywowi wyobraźni.

Byli młodzi oboje i dusze ich nie znały różnicy przeżytych lat.

Jednak rozpostartemi skrzydłami zawiśli w kryształowem przestworzu.

Po schodkach dały się słyszeć ciche, jakby skradające się kroki i szelest sukni.

— Panno Anko!... — zaskrzeczał głos Stalewskiej.

Drgnęli oboje.

Zbudzili się.

Jakieś uczucie niesmaku i szablonowej trwogi ogarnęło jego serce.

Anka wolno podeszła do drzwi.

Otworzyła je szeroko.

Stalewska mogła odrazu dostrzedz męża.

Zmrużyła oczy, przygryzła wargi.

— Pani tu jeszcze? — spytała.

— Tak.

— To dziwne. Sądziłam, że pani już w redakcyi i przyszłam prawie pewna, że pani nie zastane.

Czuć było kłamstwo w jej syczącym głosie.

— Tembardziej... że pani powinna może być teraz przy ojcu...

Bawić się zaczęła brelokami, które dzwoniły, jakby błazeński hymn tryumfalny.

— Bo ojciec pani przy wyborach przepadł... — dokończyła napozór obojętnie.

Anka porwała za kapelusze i pośpiesznie ubierać się zaczęła.

— Co pani chce... każdy z nas ma swoją chwilę, w której go motłoch nazwie... pajacem! — zabrzmiało w ślad za nią, gdy zbiegała po schodach.

XXV.

Szybko biegła Anka w stronę redakcyi.

Przeszła most, który zdawał się drzeć i pulsować jakimś dziwnem, wewnętrznem życiem. Nie

zdawała sobie widocznie sprawy, zajęta rozmową ze Stalewskim, ile czasu minęło od chwili jej powrotu do domu. Słońce zapadło zupełnie, czarne chmury wisiały groźnie nad miastem i zdawały się obniżać z każdą chwilą. Coraz cięższą była ta sekundo-wa walka płuc ludzkich, a oddech i pot osrebrzył Ance skronie.

Posepność ciężka, dławiąca, zalegała miasto. Mrówki ludzkie, zamknięte w cytadeli swych murów, dusiły się i szalały w rozprężeniu nerwów, na które bily fale krwi. Gdzieś tam już płonęły światła niepewne i jakby zamiast blasku, mrok w siebie chłonące.

Anka starała się całą siłą nie poddawać wrażeniu tego zgnębienia, bo czuła, iż będzie musiała mieć tyle mocy, iż ta moc właśnie musi przejść niejako z jej duszy w duszę jej ojca, startego na proch swą polityczną porażką.

Co robił w tej chwili ten nieszczęśliwy starzec? Co się z nim dzieć musiało?

Już po za mostem Anka odrazu wtargnęła w to rozpasanie drobnych ludzkich tryumfów i porażek. To, co płynęło z góry, to przytłaczające i groźne, rozścielało się i rozwłóczyło po ziemi w duszach i sercach ludzkich. Nie było przebaczenia u tych, którzy brutalną nogą stanęli na gardle powalonych. Z pola bitwy, gdzie „bohaterowie“ nadziewają na miecze, jak na różny, po kilku swych braci — człowiek przenosi ten „rozeń“ mieczowy i zastosowuje do wszystkich swych czynów. Upajany od dziecka fałszywem winem tryumfów krwiożerczych, wyobraźnią brodzący po polach, zasłanych trupami, nie mogąc urządzić „bohaterskich jatek“, całą tę krwiożerczość wtłacza sobie w duszę.

I potem galopuje tryumfalnie, kierując rumaka swjej brutalności tam, gdzie kryje się w cień zwyciężony moralnie jego współzawodnik. Kopytami

zajeżdża prosto w twarz pobladałą, dzidą godzi w serce, które kurczy się bólem porażki. Na helmie wyobraźni powiewa pióropusz dumnego upojenia. Zwyciężyłem, więc dalej na cmentarz cudzych złudzeń!

Rozorać mogily, rozerwać wieka trumien, oplwać tych, którzy zdjęci nagłą nieśmiałością zwyciężonych, w cień ukryć się pragną. Nie dać im spokoju za to, że śmieli przez chwil parę wzniecać niepokój o udanie się zamysłów.

Vae victis!

Anka rozumie i wyczuwa duszę rzeczy martwych, rozumie, czemu drżał taką dziką radością most, jakby odbicie drżących nerwów, cisnących się „stronnictw“. To samo drzenie przejęło bruk, fale powietrza, płomienie gazu, płonącego na rynku.

W tłumach słychać tylko nazwisko „wybranego“, brodzi się po masie afiszów, plakatów pozdzieranych i porzucanych dokoła ratusza. Czepiają się sukni Anki ostrością zastygłego kleju, szeleszczą razem z tem tryumfalnem nazwiskiem, które rozdyma się, jak pęcherz, przez dzieci nadymany. Smieszne, głupie, malomiasteczkowe drobiazgi zalewają powodzią całe miasto i zajmują pewną serwę chwil ludzkiego istnienia. Kiedyś odbijają się echem w jakichś czynach, które przejmą zdumieniem swjej przedpotopowej martwoty posuwający się szlakiem udoskonalenia wał ludzkiego ducha.

Bezmyślnie, prawie bezwłasnowolnie targa się w odruchach radosnych ludzka tłuszczka. Zbiorowe ciało, nażarte i cuchnące, często szpetne, rzadko piękne w swych liniach. Wylegli z domostw i dają folgę swjej wesołości, rozciągając mięśnie twarzy, wydając okrzyki. Tu i owdzie przemykają się ludzie, którzy wyzwolili się z tych ścieżek i patrzą po za głowy tłumu, troszczącego się o „świecznik“, zlatany z połamanych kawałków szmelcu, wycią-

gniętych z ognia namiętności karlich i pyłem przysypanych. Do nich, do tych „wyzwolonych“ pragnęłyby się przyłączyć Anka, lecz musi brać niejako udział w tych ruchach większości, szalonej prawie od pijaństwa, rozpolitykowania się bez uzd i bez względów. To pijaństwo dozwolone, przepisane i usankcjonowane, wydawało się nawet niejednemu wypełnieniem moralnego obowiązku. Snując się w tłumie około ratusza, ciesząc się z bełkotania jednego i tego samego nazwiska człowieka, który wywiesił plachtę „programu“, większą i silniej zredagowaną, niż inni, taki niejeden rósł w dumę i pychę. Zdawało mu się, że zbawia kraj, że podnosi i dźwiga na swych ramionach ginące instytucje i że to dla niego zaczynają płonąć w niektórych oknach te świece, „sześć na funt“, oprawne w butelki i podzielone na połowę.

Grupy takich osobników zbierały się teraz, umowywały pod ręce i zagłębiały w ulice, krzycząc i śpiewając. Dlaczego krzyczeli, dlaczego śpiewali, nie wiedzieli sami. Było im to obojętne. Chcieli tylko krzyżeć i podrzucać od czasu do czasu kapelusze. Wołali: „niech żyje!“, a potem; „hańba!“, tym samym tonem ludzi, nie bardzo przytomnych.

Opadające coraz niżej ciężkie, ołowiane chmury, gniotły ich mózgi i utrudniały oddech. Zdenerwowanie wzrastało. Każdy człowiek zdawał się wydzielać z siebie snopy elektryczności. W oddali odzywał się głuchy huk grzmotu. Odpowiadały mu z ulic wrzaski, przeciągające wśród tłumu. Wreszcie mignęła pierwsza błyskawica i w niej zamigotał gwiazdą krzyż na katedralnym kościele. Tłumy powiały rękami ku niebu i zaczęły błąkać się wśród kamienic, objając się o słupy latarni, o mury domów.

Z głuchym łomotem zasuwały się żelazne żaluzje sklepów. Kupcy z pośpiechem mrówek od-

dzielali swe ubogie mienie od zdenerwowania tłumu. Już kilkakrotnie rozległy się złowrogie szurnięcia parasolem, lub laską po drzwiach sklepowych, lub ścianie. Radość z odniesionego tryumfu mogła zakończyć się dźwiękiem bitych szyb i wyrwanych z bruku kamieni.

Anka nie szła już teraz, lecz biegła w kierunku redakcji.

Pusto było i głucho na ulicy i na placu. Okna redakcyjne były zupełnie ciemne. Nie płonęło żadne światelko. Lecz Anka nie dała się uwieść tej uludzie.

Czuła, wiedziała, że w tej ciemni jest jej ojciec zwyciężony z duszą, potarganą na ostatnie strzępy.

Szybko otworzyła drzwi od sieni i wtargnęła do środka. Gdy zamykała drzwi, postyszała odgłos grzmotu. Wicher wyrwał jej z rąk drzwi. Zatrzasnęła je przemocą. Przebiegła puste pokoje. Środkowy oświetlony był latarnią uliczną. Drgnęła cała. Ukazała się jej głowa ojca, zwieszona ku ziemi. Tragiczna, biała, dogorywająca...

Straszna była w nieruchomości maski pośmierdnej, zastygłej i fatalnej.

Lecz szybko Anka opamiętała się.

To był transparent z portretem ojca, który przygotowano na wypadek tryumfu.

To on dogorywał, jakby przewoźdzony do katarfalki redakcyjnego stołu, a dokoła niego wałaly się japońskie lampiony zdeptane i w pośpiechu na ziemię zrzucone.

Nikogo w redakcji. Wszyscy wobec porażki umknęli, zamykając się w swoich norach.

Anka weszła cicho do pokoju, gdzie stało biurko jej ojca...

Pewna była, że go tam zastanie.

I był tam rzeczywiście.

Ukośne światło latarni rzucało na niego promień żółtawy i jakby pyłem wypełniony.

Siedział nieruchomy przy biurku, ubrany w swe jasne, eleganckie palto.

Trzymał na kolanach cylinder i laskę, na rękach miał rękawiczki.

Wyglądał, jakby za chwilę miał wstać i wyjść na ulicę.

Ciągle czekał tak na coś nieruchomy, zimny, dziwne zjawisko człowieka, który olbrzymim ciosem mienił dla siebie to, co ledwie muśnięciem skrzydeł mogło przesunąć się przez jego istnienie. Ze swą twarzą spokojną, z wachlarzem białej brody, miał pozór mędrca, który posiadał najwyższą Prawdę i rozumiał, w czym leży treść życia.

Był on jednak jak świątynia zamknięta, cicha, o murach, wzniesionych z głazów, którym wody górskie piękny kształt nadały. Świątynia ta była zamknięta i na jej odrzwiach krwawiła się maki senne pieczęci.

Wewnątrz bowiem spełniono zbrodnię, zbezczeszczone stopnie ołtarza, na którym płonąła Dostojność prymitywnej duszy czystej, pełnej majestatu. Dopuszczono wewnątrz całą horde usankcjonowanych ludzkich błazeństw, które z łamańcami sztuk kłownowskich wdarły się do ołtarza. Biel duchową, dziwnie czystą i zdolną do przetworzenia się w słoneczną zjawiskowość, nerwowe palce błazeństw porwały na sprząty i całą Dostojność, wyjątkowa nawet, przetworzyła się powoli w rozwichrzone cząstki, tańczące w takt łamańców blaznującej hordy.

Nagle potęga przeznaczenia, ta, która miesza się w sprawy wielkie i wzniosłe, wygnała całą khortę z owej świątyni znieważonej.

I powstały milczące mury, wzniesione ze złomów, którym pęd strumieni wiekowych faktów na-

dał wspaniałe kształty, lecz na odrzwiach czerwieniały krwawą melancholią senne maki wielkich, niezłomnych pieczęci.

— Ojcie!... — wyszeptala Anka, dotykając lekko ramienia Zagrodzkiego.

Nie poruszył się nawet.

Ciągle na coś czekał.

— Ojcie!... może pójdziesz ztąd! wróćmy do domu.

W tej chwili uczuła całą nędzę tych słów.

Do jakiego domu?

Czy do tego wazkiego numeru hotelowego, po którym chodził niedawno, rzucając się w nim, jak zwierzę w klatce zbyt ciasnej.

Ten przygodny szałas, zbudowany wypadkowo w morzu innych schronisk, nie był mu domem, który mógłby uspokoić i utulić tragedję jego życia.

I on to uczuł, bo poruszył się niecierpliwie i cicho wybelkotał:

— Dokąd?... dokąd?...

Nie wiedziała co mu odpowiedzieć.

Ach! w noc tę parną cichy rozłóg ich wsi i senny trawnik, na którym rozkłada się kwieciami białej, uroczej akacyi.

I dom jasny, z którego okien wylewa się struga światła, przyćmionego lekką koronką czysto wypranych franek.

I ławeczki na ganku, przytulne i ciche, na których ktoś zostawił gałązki rezedy i parę bratków, stulonych w pokornej, wieczornej modlitwie...

I cała ta cisza łąk, pól, cmentarzy, zarosłych

puchem mleczków i lasów, pełnych paproci, kryjących w sobie ametysty dzwonek...

Tam był... dom.

Ich... dom.

Są naprzeciw siebie teraz, w tej miejskiej mordowni, pełni smutku, nie wiedząc, dokąd iść po spokój i wytehnienie.

Błyskawica przecięła pokój.

Anka w tej błyskawicy dostrzegła, że ojciec, mocą nałogu, utkwil oczy w tarczę zegara, który, nienakrecony, iść przestał.

W ślad za błyskawicą głuchy grzmot przeleciał, jakby nad dachami domów. Wicher zaszumiał i giąć zaczął drzewka na skwerze. Rozjęczały się cichym poszeptem targanych mocą przeznaczeń istnień..

W takt ich skarg wionęły smugami i światła latarni i dosięgły kątów zaciemnionych, redakcyjnych izb.

Groza przedburzy, groza, miastom właściwa, pełna nieuchwytnych drzeń cielsk domów i gmachów, ziejąca nagromadzonym żarem, pełzała i wspinała się ku czarnym kłębowi chmur, rozpetanych, rozwichrzonych nad drżącymi szczytami domostw i wież.

Wtem, od strony miasta, wtoczył się w ciasną uliczkę, prowadzącą na skwer, kłęb ludzkich ciał. I zdało się, że to jedna z chmur spadła na bruk i bieży po nim zdradnie i cicho. Ludzie szli prawie w milczeniu, a było ich tylu, że w mgnieniu oka zapelnili plac i zaroiłi trawniki. Niektórzy biegli pędem, i ci, którzy przybywali, tłoczyli pierwsze rzędy niepohamowaną siłą.

Anka, która nagle spojrzała w okna, w świetle nowej błyskawicy dostrzegła ten milczący tłum, mnożący się z szybkością cudu.

W pierwszej chwili sądziła, że to halucynacja. Lecz dostrzegł już ich Zagrodzki i jak na sprężynie,

zwrócił się twarzą ku oknu. Coś, jakby blysk radości przesunął się po jego twarzy. Nie wstał jednak, tylko zwrócił się prosto ku oknu i na tłum, po którym wicher szalał, patrzył.

Trwoga straszna przejęła Ankę.

Chwyciła ramię ojca:

— Ojczcie! odsuń się od okna! chodź w głąb pokoju.

Lecz on, jakby w zachwycie, powtarzał sobie cicho:

— Przyszli... protestują...

I czekał.

Nagle tłum zaszemrał, zakolysał się, jak drzewa, jak płomień, i z tego szmeru wytrysły straszne, przeciągłe gwizdy. Były to szarpnięcia duszy tak bezlitosne, iż zdawało się, iż ktoś kosą ścina cały legion modlących się dzieci. Gwizdy wywołały echa. I rozpetała się przeraźliwa orgia ludzkiej podłoty. Wycie wilków, szakali, hyen, dławionego zająca, świsty halnych wicherów, kotów rozszalałych, gwizdy i nawoływania zaskoczonych policyantów, śmiech demonów, laskotanych pazurami wiedźm — wszystko to łączyło się w ryk, który okrążył plac i wpadł do wnętrza redakcyi, waląc prosto w trupio-błądą twarz Zagrodzkiego:

— Hańba!...

— *Pereat!*...

— Precz z nim!...

Lecz on nie zrozumiał. Siedział jeszcze ciągle, patrzył, i tylko powieki mu szybko drgać zaczęły, jakby te wszystkie wyjące głosy rozsiekły się różgami po jego źrenicach.

Anka rzuciła się ku niemu.

— Ojczcie!.. usuń się!.. błagam...

Mignęła błyskawica, oświetlając błękitnym, przejasnym blaskiem twarz Zagrodzkiego.

— O!... siedzi tam... jest...

— Huzial
 — Ksy! ksy!
 — Hańba!...

I gwizd, i krzyk, i wycie straszne... a razem z tem ludzkim rozpętaniem grzmot przeciągły, walący skalami w bezdenne przepaście wszechświata.

Anka bezsilnie czepiała się rąk ojca.

— Ojcze! ulituj się! cofnij się od okna!

I nagle kamień pada, jeden, niewielki kamień, i krzyk ochryplego głosu;

— Hamaj kiciu!...

Śmiech okropny, rozpasany, wstrząsający.

Kamień uderzył Zagrodzkiego w ramię.

Było to, jakby ocknienie.

Zagrodzki zrozumiał.

Powstał, wyprostował się, poruszył ustami, jakby chciał coś przemówić, lecz nowa błyskawica oświetliła go całego, a tuż pod oknem wyciągały się ręce rozswywołone, straszne, czarne jak gałęzie wierzb przeklętych, nagle w noc burzliwą wyrosłych.

Anka siłą wdarła się ku oknu i zatrzasnęła je podwójnie, a nadto spuściła roletę. W innych pokojach okna były zamknięte. Uczyniwszy to, porwała ojca pod rękę i wyprowadziła z pokoju. Dał się prowadzić, jak dziecko. Pod oknami rozwylała się tłuszcza, szalejąc z radości.

— Kocia muzyka... co?... — wyszeptał Zagrodzki.

To słowo drobne i żadne wpadło w tę tragiczną chwilę, jako doskonała synteza uczuć tłumu, który miotał się po za oknami...

Anka podprowadziła ojca do szeslongu, który stał w kącie większego pokoju i ukryty był poza szafą, odwróconą frontem ku oknu. Wiedziała, że tam będzie bezpieczny.

— Połóż się, ojcze, odpocznij!

Drżał cały, jak w febrze. Upadł na szeslong i zatknął uszy rękami. Konwulsyjny ruch jego pleców wskazywał, że szarpały nim nerwowe łkania. Był tak nędzny i niešťczęśliwy w tej swojej niemości, iż Ance, klęczącej przy nim, serce szarpało się na strzępy.

Tłuszcza wyla jeszcze, lecz sił już jej nie stało. Znudzili się widocznie i zapragnęli nowego zera. Sądziłi, że znajdą redakcyę w komplecie i że „zabawa będzie szersza“. Tymczasem zamknięte okna, ciemność, ta jedna sylwetka bladego starca i potem mignięcie kobiety, zamykającej okna, to było niewiele dla zgłodniałej wrażeń tłuszczy. Przytem deszcz zaczął padać dużemi kroplami, a doleciały wieści, iż szybkimi krokami biegnie „policya“, więc tłum zaczynał rozpierzchać się, nagle ostudzony i niejako do przytomności doprowadzony.

W redakcyi klęczała wciąż Anka przy ojcu, wsłuchując się teraz w jego oddech, który huk grzmotów głuszył co chwila.

Burza rozpętała się nad miastem i rozświetlała co chwila jego nocną nędzę i tłoczącą się w murach tragiczność codziennych zdarzeń.

Zagrodzki leżał teraz odwrócony na wznak, a u nóg jego walał się porzucony cylinder na wypuszczoną z rąk laskę. Głowa jego zsunęła się ku ziemi, pomimo, iż Anka usiłowała nadać mu inną pozycyę. I w świetle błyskawic przybrał on ten sam wyraz, tę samą straszną, trupią maskę, jaką miał na porzuconym w drugim kącie sali transparenecji, tak, że Anka z drżeniem trwogi, graniczącem

z szaleństwem, chwilami już ich obu rozróżnić nie mogła.

Obie te twarze były jednako blade, jednako nieruchome, pochylone ku ziemi, zwisające bezwładnie.

Błyskawice migotały po niebie błękitnymi blaski, jakby ktoś w noc zaduszną zapalił i gasił gromnice, a huk gromu nie wywoływał jednego drgnienia w szeroko rozwartych, szklanych, dziwnych źrenicach.

XXIV.

I nadszedł świt.

A był przejasny, przeróżowy, tak świeży, że jego tchnienia aż piersi człowieka ostrością dziwną przejmowały.

I wszystko w kryształ się zmieniało tak, jakby olbrzymia kropla rosy tęczowej objęła całą ziemię przeczystością swoją.

Anka całą noc prawie przeklęczała na ziemi, wpatrzona w ojca, wsluchana w szalejącą i powoli konającą burzę.

Zagrodzki z martwoty, w jaką zapadł, przeszedł w sen ciężki—graniczący jakby z agonią i we śnie tym widocznie przeżywał wrażenia dnia, bo straszny, tępy ból wykrzywił mu pobladłą twarz!

Anka powstała z klęczek i do okna podeszła.

Otworzyła je na rozcież i świergot ptasząt, ukrytych w krzakach skweru, wpadł do wnętrza redakcyi z nieśmiałą naiwnością czekających u progu, winszujących imienin — dzieci.

To trochę zieleni, te akacye delikatnymi bukietami okalające basen, ta jasna trawa błyszcząca i jakby świeżo po deszczu wyrosła — przejęły Ankę uczuciem ulgi. Pragnęła z całej duszy iść w tę trawę, zmoczyć ręce w niej i myć oczy—twarz rozpaloną. Spojrzała na bruk uliczny.

Trochę podartych afiszów, dwa kije, kilka kamieni—oto wszystko, co pozostało po wczorajszej przeciw jej ojcu demonstracyi. Ci, którzy najgłośniej krzyczeli i gwizdali, w tej chwili wytrzeźwieni i najzupełniej obojętni—budzili się, witając z radością słońce, zdrowie własne i niespożytą siłę. Zdumieni, z niedowierzaniem przyjęliby wiadomość, że tam w redakcyi leży w tej chwili starzec z taką raną w sercu i z duszą tak zmiążdżoną—iż ta dziewczyna, której słońce lży z oczów wyżera, lęka się i trwoży wyrwać go z bolesnego pólśnu—wiedząc, iż ta agonja jest jeszcze dla niego znośniejsza, niż jawa, nie mająca ani litości, ani przebaczenia.

Ci, którzy gwizdali wczoraj, ten, który rzucając kamienie, rozuzdał się w krzyku: „hamaj kiciu“ — albo chrapali w gorącej pościeli, albo zabierali się do porannego posiłku z tym apetytem, który cechuje czyste i spełniające swe obowiązki sumienia.

Jakaś dorożka zabłąkana przejeżdżała powoli. Anka zatrzymała ją gestem. Dorożka stanęła. Anka pragnęła usunąć z redakcyi ojca, zanim ktoś się zjawi w środkowym pokoju. W przyległych słychać było ruch i kroki nocnego redaktora, układającego z metrapaźem poranne wydanie dziennika.

Delikatnie, jak dziecko chore, Anka zbudziła ojca. Gdy otworzył oczy—leżał długą chwilę, jakby z trudnością przypominał sobie wypadki dni ostatnich. Wreszcie zwlókl się z szeslongu—podjął cylinder, laskę i drząc, zataczając się jak pijany, skierował się ku wyjściu.

— Chodźmy!

Wyszli oboje—ona podtrzymując go — równie blada, z oczyma zapadłemi. Podobieństwo ich dopiero w tem zmizernieniu występowało z ogromną siłą. Gdy wysiadali z dorożki przed hotelem, Anka, płacąc dorożkarzowi, dostrzegła, że ten miał na piersi błękitną kokardę, zmiętą, zbrukaną — widocznie zapomnianą z dnia wczorajszego.

Ten drobny szczegół przejął ją wielkim bólem. Znak porażki jej ojca obłany wódką i posypany pyłem ulicznym, był jakby widmem pozagrobowem, które mignęło przed jej oczyma.

Ojciec jej wszedł już do swego pokoju i tam z pomocą kelnera położył się do łóżka. Gdy Anka weszła, leżał już woskowo blady na białem tle poduszek. Odmówił wypicia herbaty nieznanym ruchem rąk. Anka krzątała się przez chwilę, poczem usiadła przy stole i oparłszy głowę na rękach, zdreptała w półsennej majaczeniu. Obudził ją chrapiący głos.

— Proszę pani!...

Spojrzała.

Przed nią stał Wierciak, straszny, niewyspany, z okiem podbitym, z rozdartym rękawem. Wiało od niego piwnicznym smrodem, wódką i tanim tytoniem.

— Proszę pani!

— Odejdźcie... czego chcecie?...

— Jakto czego?... pani wie... należy mi się za agitację. Moi ludzie czekają.

— Ja nic o tem nie wiem.

— A któż ma wiedzieć?

— Ojciec... gdy wyzdrowieje. Widzicie przecież, że leży chory.

Ręką wskazała na łóżko, na którym leżał Zagrodzki—prawie martwy, tak wycieńczony, z oczyma zamkniętymi.

Wierciak ramionami wzruszył.

— E... gadanie!... ja też jestem chory... Wczoraj mi boki sprali, a ślepiec mało nie wylupili i to za moją robotę dla pana redaktora. Ja muszę być zapłacony i moi ludzie także... Ankę ogarnął wstręt i jakaś nieokreślona rozpacz nad nędzą tego położenia.

— Ileż się wam należy?

Wierciak głową pokazał w stronę łóżka.

— On wie... bo się godzil...

— Ależ ojciec chory!

— El to zawsze tak panowie chorują po wyborach. Jak się im nie uda, to chorują... co nam do tego! My swoją robotę czysto odrobili. A że i pan Zagrodzki klapnął, to już jego rzecz i jego partyi.

Stawał się zuchwały. Patrzył Ance prosto w twarz w tak dziwny sposób, iż zdawało się jej, że te spojrzenia oblewają ją całemi potokami rozpalonego błota. Podnosił głos i posuwał się do łóżka widocznie w celu zbudzenia Zagrodzkiego. Anka literalnie traciła głowę.

— Proszę ztąd wyjść... ja to sama z panem załatwię... proszę iść...

Zdobyła się na energię.

— Inaczej nie pan nie dostaniesz.

Skrzywił się i przymrużył oko.

— To jeszczebyśmy o tem pogadali! — roześmiał się—znam ja takie redakcyje, gdzie chętnie całą sprawę opublikują, a wtedy źle będzie z pani tatusiem!

Lecz ku drzwiom się cofał.

— Ja na dole poczekam. Moi ludzie stoją na rogu. Oni muszą być zapłacony...

Otworzył drzwi.

Wyszedł.

Gdy zamknęły się drzwi, Zagrodzki od poduszki głowę dzwignął.

— Anka!...—szepnął strwożonym głosem.

Anka przybiegła do łóżka i pochyliła się nad ojcem.

— Powiedz mu... niech idzie do redakcyi... To oni zobowiązali się koszta ponosić... Tam... dziś będą wypłacać...

Zamknął znów oczy i zwrócił się ku ścianie. Widocznie słyszał wszystko, lecz bał się spojrzeć w oczy swej wyborczej hyenie.

Anka włożyła kapelusz i kierowała się ku wyjściu.

Cichy szepł Zagrodzkiego przywołał ją znów do łóżka.

— Zamknij ty mnie na klucz... niech tu nikt nie wchodzi... on znów może przyjść... ja nie chcę... boję się...

— Uspokój się, ojczu. Zamknę drzwi i klucz wezmę, a na dole nie pozwolę, aby do ciebie kogokolwiek wpuszczali.

— Tak... tak... a... słuchaj...

Próbował usiąść na łóżku, lecz nie miał sił.

— Daj mi teczkę, atrament, papier... Napiszę artykuł wstępny... Powiedz im... będą mieli na jedenaście... najpóźniej.

— Nie pisz, ojczu... odpocznij.

— Nie—nie. Wrogi się będą cieszyli. Pomyśl, że już po mnie... Nie trzeba się dąć!...

Lecz oczy przygasłe przeczyły słowom.

— Ja jeszcze...

Nie dokończył. Opadł na poduszki. Ręce jego zaczęły wykonywać w powietrzu jakąś seryę nieokreślonych ruchów, które Ankę przejęły trwogą.

— Ojczu!... ojczu!... co tobie!...

Lecz zapadł w milczenie i półsen.

Anka wyszła z numeru, zamknęła drzwi i zabrała klucz ze sobą. W bramie rozmówiła się z portyerem i zbliżyła się do czekającego na nią Wier-

ciaka. Pod badawczym wzrokiem portyera musiała się wdać w rozmowę z tym dwuznacznym człowiekiem i duma jej czystej istoty ogromnie na tem cierpiała.

— Proszę iść do redakcyi — wyrzekła, nie patrząc w tę straszłą, opuchłą twarz — „ja tam zaraz przyjdę“. Nie miała mu odwagi powiedzieć, że redakcyja ma mu wypłacić pieniądze.

Lękała się, że zaprotestuje, że nie zechce odejść i wywoła zbiegowisko i skandal.

Nie czekała na jego odpowiedź.

Wybiegła z bramy i iść zaczęła szybko w stronę redakcyi. Ogarniała ją gorączka. Porywała ją tęsknota do cichego kąta, w którym był zamknięty jej świat własny — tak różny od tego, w którym obecnie istnieć musiała. Lecz siła faktów rwała ją naprzód. Łańcuch przeznaczeń jej i tych wszystkich innych spełnić się musiał.

Doszedłszy do Redakcyi—przystanąła na chwilę.

Na chodniku roilo się od tego rodzaju indywidualów, jak Wierciak i jego adherenci. Z ulic pobocznych ścigali inni—z rękami w kieszeniach, wlokąc nogi, grzejąc się w słońcu charakterystycznym ruchem ludzi, wprawionych do bezczynności zupełnej. Szli, nie śpiesząc się — rozmawiając z sobą ochryplemi głosami, śmiejąc się cynicznie. Wszyscy dążyli ku redakcyi, niektórzy już byli pijani — niektórzy nie byli jeszcze trzeźwi. Było to straszne zbiorowisko mętów miejskich, ten grzech i hańba miasta — to nieokreślone a takie silne podłoże najgłębszych warstw, na których wznosił się fałszywy dobrobyt i tandetna kultura pojedynczych jednostek. W ten ranek powyborczy ciągnęli jak do żłobu tam, gdzie wiedzieli, iż wobec ich groźnej postawy nie będą śmieli im odmówić zapłaty za ich problematyczną pomoc w szaleństwie politycznej pychy. Schodzili się jakby na schadzkę, a pomiędzy nimi

tu i owdzie kręciły się kobiety — żony, kochanki, czyhające na wydarcie im tych pieniędzy, które oni za chwilę chytrą i zuchwałstwem innym wydrzec zdołają.

W jasności słonecznych promieni i krystalicznej czystości poranku — odzienia ich zdaly się być pokryte pleśnią, zebrałą ze ścian nor, w których mieszkali. Twarze ich miały niemal jeden i ten sam typ, a wyraz tych twarzy cały koncentrował się w ukrytej jakby sile po za widocznymi oznakami wycieńczenia i anemii.

Pomiędzy stojącymi przed bramą dostrzegła Anka Piotruškę. Była oślniewająco biała tą kredową białością złotych blondynek. Tylko na policzkach wykwitły jej dwie plamy gorączkowych rumieńców. Z włosów jej spadła chustka. Piotruška, wspierając się na palce, starała się zajrzeć do wnętrza bramy. Lecz tłum cisnący się nie dozwalał jej zobaczyć nikogo. Nagle spostrzegła Ankę. Szybko rozpychając łokciami, rzuciła się do niej.

— Pani nie wie gdzie on jest? — zapytała.

— Kto?

— No, Wierciak. Czekam na niego od wczoraj. Teraz już nie śmie do mnie tak mówić, jak dawniej, ale to jeszcze nic... ja z nim za to włóczenie się—inaczej skończę...

— Wierciak idzie tutaj. Będzie za chwilę.

— A... to dobrze!

Zacięła usta. Podniosła hardo głowę. Coś w niej było innego, jakby zbudzonego, ale zarazem nienaturalnego.

Z okien grzeczny sekretarz — spocony, z krawatką przekreconą, dostrzegł Ankę.

— Proszę... niech pani wejdzie przez drukarnię. Rozstąpcie się... moi panowie i proszę, zróbcie miejsce dla tej damy...

Wychylił się, składał ręce. Tłum, ujęty jego grzecznością i urodą Anki, rozstępował się mimowoli. Lecz zaraz po przejściu zamykał się i Anka znalazła się przez kilka chwil w środku tego wału ciał ludzkich, które zionęły cuchnącą wonią brudu, potu i alkoholu.

Zebrała całą siłę woli i dostała się do małych drzwiczek, prowadzących do drukarni. Chciała je za sobą zatrzasnąć, ale tłum zaczął się tłoczyć, chcąc wtargnąć do środka. Zecerzy rzucili się od kaszt, aby bronić wstępu.

Pod sklepieniem bramy aż huczało od rozpasanych głosów. Po krótkiej walce wyrzucono kilka „hien“ za drzwi drukarni i drzwi zamknięto.

Anka z porwaną suknią i rozerwanym rękawem weszła do redakcyi, lecz na progu cofnęła się, nie wiedząc, dokąd ma wejść, aby czuć się bezpieczną.

Wązki przedpokój wypełniony był doszczętnie masą „Wierciaków“. Tak samo i dwa pokoje redakcyjne. W środkowym, największym, z biurka i stołów członkowie redakcyi urządzili sobie rodzaj przegrody i schronili się po za nią, broniąc silnie swych stanowisk, mocno naporem tłumy zagrożonych.

Z po za tej zagrody odbywała się rozplata dziwna, bo niczem niekontrolowana, rozplata upokarzająca i demoralizująca zionąca. Cały las rąk wyciągniętych, rąk urągających pysze, wyzyskujących sytuację, rąk groźnych i groźących w razie odmowy.

Naczelnny redaktor, człowiek ciężko chory i znudzony, usiłował zaprowadzić jakąś kontrolę. Co chwila powtarzał:

— Kto pan jesteś? czego chcesz? nie znam was wcale.

Lecz zaraz podnosił się chór groźnych głosów. Widocznie cały tłum zobowiązał się działać solidarnie. W miarę zmniejszających się kwot, podniecenie i zuchwalstwo rosło. Każda z „hyen“ twierdziła, iż położyła specjalne zasługi przy naganianiu wyborców!

— Ależ nic nie robiliście! — wrzasnął wreszcie redaktor. — Przecież przegraliśmy przez was...

Na te słowa rozległ się wrzask protestu tak straszliwy, iż sekretarz zaczął czempredzej zamykać okna od ulicy. Powietrze przez to stało się niemożliwe do zniesienia. Odór łachmanów, wódki, źle utrzymanych ciał — wypełnił powietrze. Gorąco było piekielnie. Za biurkami współpracownicy z trudnością oddychali. Z czoła redaktora spływały grube krople potu. Sekretarz zwrócił się ku Ance:

— Pani do nas?...

— Od ojca.

— A...

— Kazał mi powiedzieć, że wstępny artykuł będzie gotów na jedenastą.

Zbliżył się redaktor drżący, zdenerwowany.

— Pan Zagrodzki zawsze wtedy, gdy chwila najgorętsza, zwłóczy... My musimy skontrolować, co napisze... Proszę pani powiedzieć, że my musimy wcześniej otrzymać artykuł.

— Ojciec chory...

— I ja jestem chory, mam czterdzieści stopni gorączki, a mimo to stoję tu na stanowisku i ponoszę konsekwencje porażki.

Anka chciała powiedzieć o Wierciaku i jego pretensjach, ale porwał ją lęk wobec tej mowy redaktora, urywanej, pełnej gniewu i maskowanego żalu.

Nagle od drzwi powstał jeszcze większy hałas i wrzawa. Pierwsze szeregi, pchnięte całą siłą, wpadły na przegrodę biurek i stołów, posuwając je pra-

wie do ściany. Cały skład redakcji wraz z Anką został w ten sposób niejako przygwożdżony do ścian kantami stołów. Anka zadrżała, widząc wtargającą przez drzwi gromadę Wierciaka z nim samym na czele. Wierciak szedł spokojnie, rozpychając tłum lokciami, jak to niedawno czyniła Piotruska.

Silny był i straszny — ten i ów próbował mu stawić czoło, lecz on chwycił za kołnierz i usuwał z drogi.

Szedł prosto ku zgniecionym przy ścianie członkom redakcji.

— A ze mną i z moimi co? — zapytał, stając tuż przed redaktorem.

— Idźcie do diabła!... Nic już nie mamy. Komitet wszystko rozdał.

— Całuj psa... w nos... z twoim komitetem! Ja za darmo robić nie będę... Ta co? ta słyszane to rzeczy? Tamten się powalił w bety, a ci mówią, że rozdali...

— Wy wzięliście naprzód.

Dokoła rozległ się szmer.

— Com wziął?... com wziął?... dla muchy na piwo nie starczy... To ze mną tak nie będzie... Ja i moi nie damy się zbyć psim śwędem. Co?...

Jak przed burzą zahuczało w gromadzie Wierciaka.

— Tak... tak... nie damy się!...

Pchnęli się naprzód. Jedno biurko przewróciło się. Wpadli na niego i złomotali je butami.

— Płaćcie! Płaćcie!...

— A, o!... Panna, co obiecała, że w redakcji zapłaci!... — wrzasnął Wierciak.

Był tak blisko Anki, że dotykał prawie jej piersi wyciągniętą ręką.

— Ta pani nie miała prawa nic obiecywać!... — krzyczał rozpaczliwie redaktor. Ta pani nie należy do redakcji!...

— Nam nie do tego!

— Płaćciel...

I znów pchnęli się całą masą naprzód.
Powstał krzyk straszny.

Na ziemię, jak martwy z wyczerpania i zderwowania osunął się omdlały redaktor. Upadł prawie pod stopy Anki.

Dziewczyna w tej chwili rzuciła się ku niemu i zasłaniając go, podnosić zaczęła jego bezwładną głowę.

— Wody! Wody!

Sekretarz rzucił się z zaciśniętymi pięściami w środek tłumu.

— Precz! precz! Zabiliście redaktora.

Ten grzeczny i wytworny chłopak znalazł w nerwach swoich całą moc siły i energii.

W tłumie powstała panika.

To słowo: „zabili“—podziałało magicznie.

Kryminal! Zbrodnia!

Nikt w tem nie chciał brać udziału.

I rozpoczął się odwrót—pełen scen strasznych, zwierzęcych, bo tratowano się wzajemnie, pragnąc jak najwcześniej wydobyć się z lokalu redakcyjnego.

W przeciągu kilku minut lokal opustoszał od „hyen“. Z bramy, z ulicy rozbiegały się całe grupy, uciekając przed ewentualnem nadejściem policy.

Sekretarz rzucił się do zamykania drzwi, a otwierania okien.

Anka wraz z innymi współpracownikami trzeźwila redaktora, którego złożono na sofie.

Powoli przychodził do przytomności. Wzrok jednak miał przygasły i cały płonął z gorączki.

Oczy jego zatrzymały się na drzwiach, prowadzących do pokoju, w którym siadywał Zagrodzki.

Drzwi te znajdowały się właśnie w ścianie, do której przyparł tłum Ankę i cały skład redakcyi.

Otwarcie tych drzwi, wydostanie się do wolnego pokoju, mogło ich ocalić przed tą tłuszcą.

Lecz teraz wszyscy przypomnieli sobie, iż na próżno usiłowali te drzwi otworzyć.

Były szczelnie zamknięte od wewnątrz.

— Kto to zrobił? — zapytał zirytowany sekretarz.—Mogliśmy przecież spokojnie cofnąć się do tego pokoju... Kto to mógł zrobić?

Drzwi cicho się otworzyły.

Z pustego pokoju wyłoniła się tylko jedna postać — delikatna, wdzięczna, subtelna, z twarzyczką jakby wyciętą z jakiegoś pastelu XVIII wieku.

Prześliczne oczy obiegły wszystkich zgromadzonych, biała ręka podniosła ku ustom delikatny kwiat narcyza i jakby cień wytworny a ironiczny, ten chłodny i spokojny człowiek przesunął się pomiędzy zgorączkowanymi i zmaltretowanymi ludźmi.

Redaktor nie poznał go na razie.

— Kto to?

— To taki sobie... poeta... czy coś... Leljan...

— Czego on tu chciał?

— Przyszedł do Narbutta prawdopodobnie.

Redaktor powstał powoli z sofy.

— Czy on jest z tych wielkich, co to nic nie piszą?

— Podobno pracuje nad studyum o Satanicznym Dekameronie—Moreau...

— Niech go dyabli biorą z jego Dekameronem i podłym egoizmem. Zamknął się spokojnie w pokoju wtedy, gdy nas tratowano. Lecz sekretarz, który delikatnie nacierał ręce pianą z paczulowego mydła, odparł:

— Właściwie dobrze zrobił. To była nasza sprawa, nie jego. Dlaczego więc miał ponosić jej niemile konsekwencye?

Anka deszła do okna, ażeby zobaczyć, czy będzie mogła przejść spokojnie przez ulicę.

Pod samem oknem dostrzegła Piotruškę i Wierciaka. Dziewczyna stała hardo, z oczów jej strzelały błyski.

— Idź do domu!—ryczał Wierciak.

— I zaraz—będę w domu gnić, a ty póndziesz do szynku... widzicie go... i ty chodź! Za jaką robotę się chyc... Szewcem jesteś... zeluj w domu.

Wierciak aż drgnął pod tym głosem.

— Odczep się, pókim dobry, bo jak mnie złość chwyci... to cię tak wyzeluję tu na ulicy, że cała poczerniejesz!

Zamierzył się.

Piotruška machinalnie pochyliła głowę, zasłaniając twarz.

Nagle, jakby sobie coś przypomniała, podniosła głowę i krzyknęła:

— Spróbuj!... Na policję krzyknę, a bić się nie dam... Co to? ja twój bęben, żebyś ciągle w niego walił!

Wierciak machnął ręką, lecz Piotruška uniknęła ciosu. Oblana rumieńcem, straszna, poskoczyła na środek ulicy. Dostrzegła w oknie Ankę. Ten widok ją podniecił. Otworzyła usta—zabłyły zęby, jak u młodej wilczycy, i nagle we wrzasku nieludzkim polala się cała struga najohydniejszych przekleństw i słów, mrozących dech w piersiach.

Te słowa, ten głos—były okropne—zionęły błotem, kałem, zaulkami rozpusty. Zdawało się, że wszystkie rzeczy niskie i szpetne rozwyły się w tym głosie, broniącej się od pięści męzkiej kobiety.

Lecz równocześnie — w linii, w wyrazie tragicznym, w czemś bardzo duchowem i dziwnem była godność człowieka, w którym zbudziło się poczucie indywidualnej wartości. Opromieniało to nimbem przechyloną w tył głowę ulicznicy i Anka uczuła,

że serce jej drga jakąś radością, jakby w tem zbudzeniu przejawił się ten głębi duszy, który szarą mgłą do niedawna otaczał widmową postać Piotruški.

Wierciak stał jakby zdumiony tym nagłym oporem, i w ślad za oczami Piotruški pobiegł.

Dostrzegł w oknie redakcyi Ankę i natychmiast na maskę jego twarzy wystąpiła zuchwałość wpraw nego szantażysty.

— No i co będzie — zapytał, zwracając się ku oknu — czy mam znów iść do hotelu?

— Nie! — zawołała pośpiesznie Anka. — Proszę tam nie chodzić. Ja panu zapłacę!

— Kiedy?

— Jutro proszę przyjść...

Zacięła się.

Nie chciała go sprowadzać do willi Stalewskich. Bała się samej Stalewskiej i jakiś wstyd ją ogarnął na myśl, że Jan dowie się, w jakiej kałuży życiowej tonęła od wczoraj.

Zdawało się jej, że ta nić, która się pomiędzy nimi rozprzędła, tkana w cudowne brylanty, że ta nić straci na uroku, na połysku, na pięknie.

— Proszę czekać na mnie jutro przy moście—wieczorem, od strony miasta.

— No... żeby tylko żadnych śpasów nie było, bo jak Boga mego kocham, mam ich dosyć...

Odwrocił się na pięcie i gwizdnął na Piotruškę, która cofnąwszy się na skwer, usiadła na skraju basenu.

Lecz Piotruška na to gwizdnięcie nie reagowała. Patrzyła ciągle zuchwale i wyzywająco.

— Piotruška... sam tu!... do nogil!... — ozwał się grubijański głos Wierciaka.

Lecz od strony basenu razem z powiewem delikatnych gałęzi akacji doleciało:

— Gryźnij się, baciarszu!...

— Sam tu!

— Łatynda!...

Wierciak zrobił krok naprzód, lecz postawa zbuntowanej dziewczyny była tak groźna, iż cofnął się, plunął i ruszył w kierunku miasta, wetknąwszy ręce w kieszenie kurtki.

Piotruśka chwilę jeszcze siedziała na ocembrowaniu studni.

Widocznie walczyła z sobą.

Wreszcie zsunęła się na ziemię, podwiązała z energią chustkę na głowie i poszła w stronę przeciwną od tej, którą się udał Wierciak.

Anka odstąpiła od okna. W redakcyi chłopcy i współpracownicy zaprowadzili możliwy ład—sekretarz mył ręce, redaktor naczelny siedział na szeslon-gu błady i zmęczony.

Anka czuła, że jest tu zbyt czystą, że wszyscy patrzą na nią, jakby na cząstkową sprawczynię dzisiejszej katastrofy.

Poprawiła kapelusz, suknię i ukłoniwszy się, wyszła na ulicę.

Śpieszyła do ojca.

Postanowiła nic mu nie mówić o tem, co zaśzło.

Instynktem odczuwała, że Zagrodzki musi w tej chwili przechodzić straszne, przelomowe chwile.

Gdy weszła do numeru — zastała ojca siedzącego boso w swem jasnym palcie przed stołem i pi-szącego gorączkowo ów artykuł wstępny.

Zbliżyła się ku niemu, lecz on machnął ręką.

— Nie przeszkadzaj!... idzie mi wybornie. Zobaczmy, czy mnie zgnetli. Wyplnę niezadługo. Będą się musieli ze mną liczyć.

Straszny był w tej chwili.

Oczy krwią mu zaciekły, ręce drżały.

Miał zupełnie wygląd gracza, który, zgrawszy

się dzień przedtem do nitki — znów siada do zielonego stolika.

— Ojczy—zaczęła nieśmiało Anka — kazali mi powiedzieć w redakcyi, że oni chcą...

Lecz Zagrodzki przerwał jej wybuchem dziwnego śmiechu.

— Oni chcą!... oni chcą!... — wołał, gorączkowo numerując kartki — czego oni mogą chcieć, ta zbankrutowana partya, przez którą wczoraj padłem... Tak, tak, tylko przez nich!...

Wstał, drżąc cały czepiał się brzegów stołu — szukał jakichś notatek.

— Ja się z nimi przeliczyłem... oni nie mają żadnego znaczenia... Znajdę inne silniejsze stronnictwo. Ci mnie wysuną...

— Och! ojczy, znów chcesz rozpocząć to samo?

— Tak... tak... do ostatniego tehu. Nie zawiodę nadziei, jaką kraj we mnie pokłada.

Potrząsnął głową.

Oczy miał szklane — mimo to migotliwe.

— Idź już ztąd... idź.

— Jesteś chory — nie możesz zostać sam.

— Ja chory?... oszalałaś.

Wyprostował się—cały poźółkły—z roztarganą brodą, z włosami zwichrzonemi.

— Idź... idź!... muszę się ubrać... Pewnie ktoś przyjdzie...

Starał się „trzymać“. Jakaś gorączka wewnętrzna płonęła w nim niezdrowym, niszczącym ogniem.

— Idź!...

Anka czuła, iż pozostając drażni go coraz więcej.

Z oczyma lez pełnemi wysunęła się cicho za drzwi i skierowała się powoli w stronę swej pracowni.

XXV.

Wszystkie płótna odwróciła od ściany i patrzy po nich — patrzy — i jedno snuje i rozumie aż nadto dobrze.

Tego nikt nie kupi, bo to jest malarstwo przyszłości.

A tego, co idzie w przyszłość, nie kupuje się, nie pragnie, nie pożąda.

Ceni się to w dziedzinie twórczości, jako śmieć bezużyteczny i śmiech wzbudzający. Gdy przejdzie w przeszłość, perłami miłości wysadza się te rzadkie klejnoty, które we wzgardzie, w jakiej powstały, nie straciły nic ze swego cennego piękna.

Lecz dziś — są niczem.

Anka wie, że za jej syntezy dusz ludzkich nie da żaden przekupień nawet tyle, co za oleodruk.

Pieniądzy dziś Ance potrzeba.

Weszła w błoto drobiazgowych światowych i oto wlecze się za nią łańcuch konsekwencji. Troska materyalna, żrąca jej delikatną i niepraktyczną naturę.

Co począć!

Ma kilka drobniuchnych, panięskich klejnocików. Bransoletka z granatów, szpileczka z perłą, pierścionek z turkusem, łańcuszek cieniuchny wenecki. Ona nie wie, ile się płaci za usługi hyen wyborczych, ale przypuszcza, że może ta kwota wystarczy. Chodzi jej głównie o to, aby nie szarpano nerwów ojca. Czuje bowiem, że się tam coś rozpręży, coś odmawia posłuszeństwa, jakaś mglistość roztańczona w przestworzu rozpościera się kolo niego i wtedy, gdy się jest w jego pobliżu — traci się świadomość i równowagę.

Anka schodzi ze świata abstrakcyi i chce działać na realnym gruncie obowiązków dziecka względem rodziców.

Głęb duszy jej ojca odkrył się przed nią z nieubłaganą konsekwencyą — postanawia uczynić coś i dla tej duszy, lecz musi ją ochronić od zewnętrznych wstrząśnień. Przez ciało lęka się o duszę. Uchroni przedewszystkiem ciało. W tę jej troskę i niepokój wchodzi jeszcze rozterka, która aż nadto widocznie opanowała Stalewskich. Ze słów goryczą przepojonych samej pani dowiaduje się, iż Stalewski zamknął się w swej pracowni i maluje.

Odmówił wykończenia portretu owej damy tak ładnie uczesanej i posiadającej porcelanową gładkość lic i wachlarz z piór strusich. Co więcej — nie powiedział nawet żonie, czy obraz, który maluje, robi na zamówienie i czyje. Teraz właśnie jest czas najgorętszy. Kilka osób dowiadywało się w Towarzystwie o jego adres i badało sekretnie o cenę portretów. Lada chwila mogły się zjawić nowe obstackunki, a ten dziwaczy!...

Stalewska mimo wszystkiego urządza dziś po południu zwykły „fix“ i od rana układa na kryształowych paterach bomby kawowe i makowe placuszki. To jej *spécialité de la maison*. Wyprawiła dzieci z niańką po masy maków, żyta i bławatków. Uważa bowiem, że można ładnie tę ozdobę polną spożytkować jako dekorację salonu. Jest zuchwała i niespokojna. Od kilku dni biega, kręci się — bo po przyjeździe do równowagi, zadecydowała, że pomimo wszystkiego, rąk opuszczać nie należy.

Mimoходом wpadła tu i owdzie, przypomniała o fixie, była w teatrze na premierze i dwa antrakty wierciła się jak bąk po kurytarzu, rozdzielając na prawo i na lewo obłeśne uśmiechy. Ta żebraczka rozgłosu, ściśnięta jak osa w nowomodnym gorsecie i zbyt wysokim kołnierzyku, cierpiała po-

prostu tortury dla zdobycia sytuacji, w której zdawało się jej, że przez artykuł Narbutta był jej rodziny zachwiany został.

Na kurytarzu teatralnym, w chwili, gdy niemal wszyscy zwabieni dzwonkiem wracali na swoje miejsca—Stalewska, chichocząca się na pozór rozkosznie w towarzystwie jakiegoś redaktora, dostrzegła Narbutta, opartego o ścianę i patrzącego w przestrzeń zamglonym wzrokiem. Krew jej zbiegła do serca.

Pod blanszem i różem, w świetle elektryczności, stała się nagle aż białą jak maska pośmiertna. Lecz opanowała się szybko.

Wyprostowała się, przygryzła usta. Do skarbu swej mądrości sięgnąwszy, znalazła w nim gotowy aksjomat, iż ludzie wyżsi są w każdej sytuacji wyższymi ponad fakty, które dla innych wyższymi się zdają.

I na blade usta wykwitnąwszy najboleśniejszym uśmiechem — ujawszy w rękę *face à main* ozdobioną monogramem, postąpiła ku Narbuttowi, wchodząc z nadzwyczajną śmiałością w krąg jego zamyślenia.

— Dlaczego pan jesteś naszym wrogiem? — spytała, starając się omotać go w tej chwili swą przeogromną grzecznością.

I stała się rzecz dziwna, ale ogromnie zwykła i ogromnie ludzka.

Narbutt uczuł się zmieszany i wytraconym z równowagi, widząc tę kobietę, wkraczającą z całym arsenałem swego fałszu w kolo jego spojrzenia i myśli.

Ogarnął go jakiś lęk i — wstyd.

Stała mu tuż przed zrenicami i wyciągnęła rękę, a on bardzo grzecznie, brzydkim, pośpiesznym gestem rękę tę ujął i uściśnął.

— Ja wiem... — zaczęła znowu tak, jakby nie chciała mu dozwolić opamiętać się na chwilę — ja

wiem, że to jakieś uboczne wpływy musiały podziać na pana w ten sposób. I jeżeli do pana przychodzę pierwsza, to dlatego jedynie, aby dać panu dowód, że tak ja — jak mój mąż — jesteśmy wyżsi ponad takie drobiazgi. Mój mąż stoi na tak wysokim stanowisku, iż artykuł pana zaszkodzić mu nie może, ale... zaszkodzić może panu...

Odetchnęła i czekała, czy on co nie powie.

Ale ta rzecz „ogromnie ludzka“ — była tak silna i rozrastała się tak jak chwast dokoła niego, iż stał milczący przed nią, jak żak złapany na gorącym uczynku.

— Pan jest młody, pan potrzebuje oparcia ludzi solidnych — pan źle robi, idąc tak na oślep przeciw nim...

Odyskiwała coraz więcej pewności siebie — złudzona jego milczeniem. Podniosła głowę — zaczęła go traktować, jak żaka.

— Potem, gdy przyjdzie rozważa, gdy pan istotnie zrozumie, czym jest życie, pożałuje pan swego wystąpienia... Ale my jesteśmy dobrzy, my z mężem nie umiemy chować urazy i dlatego...

Zawiesiła głos i zrobiła się zupełnie *bonne princesse*.

— I dlatego — dokończyła — czekamy na pana jutro u nas, w zwykłą godzinę przyjęć... Spotka pan tam swoich znajomych, przyjaciół.

Przestała mówić, bo złamało się coś pomiędzy nimi. Ona uczuła w jednej chwili, że przeholowała. To „ogromnie ludzkie“ przysło, jak bańka mydlana. Rozbiła je niebywałą u niej niezręcznością.

— Więc!... — wykrztusiła jeszcze pomimo tego, iż jakaś siła wytrącała ją poprostu za nawias — poza owe kolo, nakreślone wzrokiem i myślą, Narbutta.

On odzyskał teraz swą dawną krew zimną i otrząsnął się z czapraka dobrze ułożonego mło-

dzieńca, jaki zupełnie niespodziewanie okrył mu plecy.

Ruchem bardzo podobnym do ruchu Wiercia-ka, wetknął ręce w kieszenie kurtki i przymglonemi oczami patrzył wprost w twarz Stalewskiej.

— A... państwo bude swą rozbili — gdzie?... koło cyrku?... — zapytał z całym okrucieństwem, tak dziwnem wobec słodczy tej Narcyzowej twarzy, obramowanej pasmami czarnych, lśniących włosów.

Stalewska zrozumiała aluzję, lecz zapanowała nad sobą z taką siłą, że aż poczuła ból fizyczny w mięśniach twarzy.

— Nie!... — odparła ze słodczą, a tylko podmalowane oczka płonęły jak dwie świeczki — budy z cyrkiem i menażeryą są przed mostem, nasza willa jest za mostem!

Podkreśliła to słowo „nasza willa“ — chcąc chociażby niem zdruzgotać tego „projdyświta“ bez własności — żebraka, prawie cuchnącego fałszowanym absyntem.

I nie czekając na dalszą dyskusję, zaszeleściła suknią i odeszła, pozostawiając go znów samego i jakby wpatzonego w mgławicę, co się przed nim coraz szerzej rozsnuwać zaczynała.

Od strony sali dobiegały do niego tony orkiestry — jakaś fantazja nieokiełznana, pełna żywiołowej siły. Coś się tam rozpętało w duszy twórcy. Pędził na karkach swych frazesów, uchwyciwszy się gryzwy ich demonicznej potęgi.

Lecz do uszu Narbutta, do wnętrza jego duszy i te silne tony wpływały przez mgłę koła śmiertelnego, które okrzykiło go od niedawnego czasu. Wał mgły melancholii i zwątpienia w konieczny pożytek istnienia coraz silniej się wznosił i odgraniczał go od świata rzeczywistego. To, co stało się pomiędzy nim a Stalewską, było niemal ostatniem drgnie-

niem jego dawnego systemu układania swych czynów. Ta zmiana straszna, grozy pełna, dokonała się w nim prawie pod wpływem...

— Leljan!

Tak.

Lecz ten nie potrzebował używać perswazyi, słów, sięgać do głębin ezoterycznej wiedzy, wywoływać widma sferyczne i rozsnuwać przed nim dobroczynne słowa Buddy. Narbutt miał to już wszystko w sobie — niepochwytne tak, jak u Leljana, z rozmaitych broszur wypadkowo znalezionych, lub ze streszczeń dzieł; Narbutt, gdy sennym kręgiem się otoczył, znalazł w nim cały świat ten sferyczny gotowy i przez niego przefiltrowany.

I dlatego, gdy Leljan, zburzywszy kruchą w każdym człowieku wiarę w konieczność życiowej męki—chciał swoim zwyczajem zbudować czarowny pałac wizyi, spotkał się z rzeczą nieprzewidzianą, spotkał się z linią wyższą ponad tę, która jemu zdawała się już wyżyną.

A było to w jeden upalny wieczór.

— Chodź do Stefki.

— Głupia dziewczka.

— Nie, nie — przetrworzyła się. To Kapalakundala.

— Jak?

— Nasze medyum — Kapalakundala... Lewituje...

— Ach!...

W milczeniu doszli do piętrowej kamienicy na jednej z najhałaśliwszych ulic.

W bramie stał magiel. Potknęli się o przewróconą konewkę. Przed nimi jakieś wazki plecy znikaly właśnie w klatce schodowej oświetlonej małą, nędzną lampeczką.

— O... już idą Yogi...

Leljan rzuca te słowa, jak zdawkową monetę. Narbutt jednak ma minę tego, któremu rzucono ową monetę, lecz on się po nią nie schyla, pełen wewnętrznej pogardy.

Lelian odwraca się ku niemu:

— Zobaczysz rzeczy nadzwyczajne. Z niej płynie fluid destrukcyjny. Przetworzyła się. Śmierć Rosickiego — pamiętasz... na statku w kajucie... Wtedy dała dowód, jaką niepospolitą ma w sobie potęgę. Odprowadziła go na kolej, śmiejąc się. I wiedziała... rozumiesz... wiedziała...

Poszli znów dalej po schodach.

Tam, gdzie działy się „rzeczy nadzwyczajne“, ktoś gotował kapustę. Fatalny zapach kuchni aż dławił, aż chwytal za gardło.

U drzwi, na których czerniał na białym tle napis jakiś — stanęli.

Robes-modes-confections,

Mad. Stéphanie.

Leljan dzwonek nacisnął.

Dzwonił dziwnie, delikatnie, jakby jakąś melodyę. Dość długo nie otwierano, wreszcie zadudniło boscami stopami. Przyleciało coś z głębi i otworzyło drzwi, a potem uciekło. Buchało z ciasnego przedpokoju wonią mydlin.

Widocznie tam, gdzie działy się „rzeczy nadzwyczajne“ — odbywało się pranie.

W niewielkim frontowym pokoiku — prawie ciemno.

Na fortepianie lampa przesłonięta tanim, czerwonym abażurem. Przy klawiaturze mężczyzna, który tonie w cieniu. Na klawiszach spoczywają jego nieruchome ręce. Nie gra — ale ręk z klawiatury nie zdejmuje. Wygląda jakby figura woskowa lub osoba, biorąca udział w żywych obrazach na cel dobroczynny.

Tu i owdzie jakieś cienie. Siedzą, milczą, ssą cygara lub papierosy. Na stole butelka do połowy próżna zielonego płynu. Trochę kieliszków. Na ścianie obraz jeden — dużo rozlanej szarej farby i dziecinnie nakreślona figurka. Ma to być imitacja Syntetystów — coś na kształt genialno-chorobliwych fantazyj Van Pogha.

„Na fotelu — kobieta.

Silna, tęga, ukrywająca swe kształty pod długim, czarnym fartuchem, spadającym jej do stóp. Ręce ma tylko ładne, białe i wypiełgowane.

W zielonych oczach całe morze ironii, nawet źle ukrytej. Siedzi w hieratycznej pozie, śledzi wartość butelki i nadśluhuje chlapania, dopływającego z kuchni.

Ma wygląd statystki, wynajętej na to, aby udawała Destrukcyjną Siłę...

Leljan wsuwa się i skinieniem głowy obdarza milczących towarzyszy.

Ku niemu biegną spojrzenia. Stefka skinęła ręką.

— Siadaj — szepce — czekamy wszyscy... Na dejdzie chwila cudu.

Wskazuje w stronę fortepianu.

Lecz nieruchomy do tej chwili mężczyzna porwywa się, odtrąca fortepian, chwytając się za głowę.

— Nie mogę... czar przysł... wola — wtargnięcie tych obcych zniweczyło cud... nie mogę.

Idzie do stołu, pije kieliszek absyntu i usuwa

się pod piec, gdzie pozostaje kolosalny, chmurny, nieprzystępny.

Narbutt nie siada. Trzyma się blisko drzwi. Patrzy nieufny i rodzaj grymasu usta mu wykrzywia.

Pytające wejrzenia ku niemu zwrócono.

— Nie badajcie—uspokaja Leljan.

I zaraz pyta:

— O czym marzyliście?

— O dostaniu bodaj Yoga-Sutry.

— A!... lecz czemu w sobie samych nie znajdziecie dosyć elementów odpowiednich?

— Nie—nie—skoro już jest wypróbowane...

— Pozwólcie—co dla Indyi odpowiednie, czyż wam posłuży!

— Musi.

Energicznie zaczyna krząćć butelka—w kuchni kłopot miarowy przechodzi w szmer gwałtowny przelewanej do szaflików wody.

— To nasza kapliczka!—zwraca się hieratycznie Stefka do Narbutta.

Lecz on nie może znieść zapachu ługu i tej podłogi źle wyczyszczonej, tej wymęczonej sofy i wytartego pieca. Przytem panuje tu atmosfera fałszu, komedyi i obłudy. Nikt tu nie jest szczerzy, nikt nie wierzy. Widocznem jest, że pewna ilość biedaków z małego miasteczka czytała coś w przekładach o kapliczkach tajemniczych z ulic Vaugirard i innych. Zachciało się im wyczuwać „wrażenia“. Nie czują nic, lecz milezącą ugodą nie przyznają się do tego. Dochodzą do szczytów, potracają nawet o Ruysmanowskie bajdy dla użytku łatwowiernych snobów. Lecz—wszystko kończy się na zimnem niedołęztwie, kłopotaniu tygodniowego prania i fałszowanym absyncie, któregooby porządny dorożkarz pic nie chciał. Niedołężne to, śmieszne i głupie...

Narbutta porywa wstręt i nuda. Z tej izdebki—*Modes-robres-confessions* — wychodzi jedno. Wychodzi myśl samobójstwa, w przekrwionych mózgach zróżdżona. Tu dojrzewa, jak kwiat białej cykuty na bagienkach i rozplywa się z chwilą unicestwienia ludzkiego życia. Neurastenia, starannie pielęgnowana, czai się po kątach pustych i smutnych.

Pochylone karki — oczy w dół wbite, ciche, powolne kroki chorych kotów, stąpających po mchu. I ta cisza, cisza straszna, przerywana pluskotem wody!...

Lecz po co w to wtrącono legendowe Tajemnice, wydarte bóstwom? Po co oplwano parą mydlin przedwiekowe myty hinduskie, do których głównie przywarły się małomiasteczkowe biedaki — czciciele absyntu?

— O Kriszna, synu Dewanahi — synu lotosowego kwiatu, sam jak kwiat lotosu... co robisz w izdebce *Robres-modes-confessions*?

Jesteś tutaj, boś jest Jednością—i ci wszyscy skupieni dokoła butelki i ta kobieta oplacana za to, aby grała rolę Destrukcyjnej Siły, i ten nieruchomy olbrzym pod piec wciśnięty—to wszystko jest tobą i częścią twoją—o słodki synu Mahadewy. Lecz oni są dalecy jeszcze od złączenia się z tobą, bo nie dążą do twego serca, lecz dążą do powierzchownych blasków twej Istoty. I przez to są zimni—i przez to, gdy idą na śmierć, nie witają jej znakiem szczęścia, lecz czynią to raczej z zuchwałej pychy.

Nie mają w sobie radosnej ekstazy Kriszny, gdy zwrócił swą twarz w chwili zgonu do jaśni słonecznej, wołając:—Idę ku tobie. Ojcie mój w niebiesiach.

Bo na to nie trzeba trenować się i brać tytułu, lecz mieć wiarę w duszy, iż było się Jednością, było się Słoneczną Jaśnią—i ze śmiercią powraca się do niej.

— Dąkał idziesz? jeśli chcesz pić — masz absynt!

Lecz Narbutt wyrwa się z rąk Leljana.

— Puść mnie. Ta wasza kapliczka, to chlew. Absynt nawet jest zbeczeszczony. Czego chciałeś mnie nauczyć? Co chciałeś we mnie wzbudzić? Chęć śmierci?... co?...

— Może!

— Głupiś. Ja ją mam, inną, prawdziwą, uroczą wielką. Ja rozumiem rozkosz śmierci od dzieciństwa inaczej, niż wy — marne, śmieszne gady!

— Nie pileś, a rzucasz się, jak pijany.

Już są na schodach. Woń kapusty rozprasza się powoli. Ktoś gra ohydneho walca w parterowym mieszkaniu.

— Puść mnie!...

— O, nie... ja pójdę z tobą.

— Ostrzegam cię, że idę pić.

— Chciałem ci to zaproponować.

Stalewska spokojnie starała się czynić swe przygotowania do „fixu“ i hamowała swe nerwy przed możliwą scysłą z mężem.

Pragnęła bowiem zająć jak zwykle jego pracownię i przyozdobiwszy ją kwiatami (jaki kontrast!), rozrzucawszy polne wiązanki na tle gobelinów i zbro—urządzić główny teren zebrania właśnie w atei „mistrza“.

Lecz—gdy w południe zapukała do drzwi pracowni, zastała je zamknięte. Ponowiła pukanie raz

i drugi—i wreszcie drzwi szarpnięte silnie otworzyły się do wewnątrz.

W progu stał Stalewski z węglem w ręku — blady, inny niż do tej pory widywała go przy pracy.

— Czego?

Zbita z tropu urwanym tonem, w którym brzmiało silne zdenerwowanie, usiłowała *quand même* wtargnąć do wnętrza pracowni.

— Chcę poczynić przygotowania...

— Do czego?

— Na dzisiejszy fix.

Spojrzał na nią i rzecz dziwna, Stalewska uczuła to samo wysunięcie jej za nawias, w koło mgły, które myślą i wizyjnym światem zdawały się oddzielać Stalewskiego od niej.

— Proszę mi nie przeszkadzać w pracy.

— Co robisz?...

Nie odpowiedział jej.

Zamykał drzwi, lecz ona nagle przejęta jakąś złością, wsunęła nogę pomiędzy drzwi i silnie się oparła.

— Pragnęłabym widzieć...

— Nie... proszę cię...

Zadrzała w jego głosie jakby trwoga, jakby prośba. Bał się widocznie, że ta istota wtargnie mimo wszystko i materialną swą obecnością spłoszy skupienie się sił, które dokoła siebie ściągał wysiłkiem rdzenia swej istoty twórczej.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Dłaczego ta tajemnica?

Z pod „tęczowej kopuły myśli“—Stalewski wy—dostał się nagle w sam środek domowej scenki znajdującej się na drugim końcu wahadłowej linii każdego jasnego momentu „familijnego człowieka“. Ponieważ Stalewski tak mało do tej chwili w życiu odkładał na Wzniosłość, bez której niepodobiestwem jest być artystą, a Wzniosłość tę wyczuł

promieniującą dokoła siebie w tej właśnie chwili—doznał dziwnego bólu na myśl, iż tę wykradzioną a należną mu godzinę cudowną — niszczy ten głos skrzekliwy i ta noga kobieca wsunięta zuchwale tam, gdzie przed chwilą on sam był z duszą swoją. Krew mu nabiegła do głowy i zabłysła rubinowemi blaski w oczach.

Postarzał się i zmęźniał w jednej chwili.

Lagodna jego uroda przeobraziła się dziwnie. Stalewska mimowoli usunęła nogę i cofnęła się kilka kroków—lecz on teraz drzewi nie zamykał.

— Urządzasz fix?

— Tak — odparła śpiesznie — rozumiesz, iż musimy pokazać światu, że jesteśmy wyżsi nad głupie artykuły Narbutta i że...

Przerwał jej niecierpliwie.

— I ty sądzisz, iż w ten sposób pokażesz naszą wyższość?

— Naturalnie. Spodziewam się dziś dużo osób ze świata literackiego, urządzę tak, iż napiszą.

Lecz on patrzył na nią, przeszywając ją ciągle krwawem, dziwnem spojrzeniem.

— Nie tędy droga—wyrzekł wreszcie—nie tak się dowodzi wyższości. Dowiodę ja—nie ty...

Odczuła, że w nim całym była dla niej obecnie wielka, wzdardliwa ironia.

— O! przepraszam...—wyrzekła żywo—pozwól! ja dalej działać będę. Wszystkie poprzednie głupstwa twoje puszczam w niepamięć. Muszę puścić w niepamięć. Tu idzie o przyszłość naszych dzieci i tej bronić będę do upadłego.

— Tu idzie o przyszłość moją... — odparł on niskim głosem — a tej ja bronić będę do upadłego.

— Oszalałeś!... przyszłość twoja? jaka? Przecież ty już doszedłeś. Ty już nie masz przyszłości. Ty staraj się utrzymać teraźniejszość.

Ty już nie masz przyszłości.

W jednej chwili ujrzał przed sobą siebie samego, pochylonego, siwego — z całym dorobkiem swoim na barkach, z uczepioną dokoła jego rąk bandą dzieci w strojnych sukienkach.

To był ten on—który nie miał przyszłości.

Lecz nagle wizya inna, powiewna, dobra i słodka — wizya kobiety tak uduchowionej, że abstrakcyjną się stawała — wionęła nań z rękami wyciągniętymi litośnie. Ciepło przeniknęło jego ciało, ciepło i światło przeniknęło jego duszę. Poczul się znów silny i spotęgowany w swej działalności psychicznej.

— Proszę — wyrzekł z naciskiem i niemal brutalnie — proszę i każe, ażeby tu dziś była cisza zupełna. Niech nikt się nie waży wejść do tego domu, który powstał z mej pracy i musi być dla mnie kątem do pracy...

Cofnął się i zamknął drzwi na klucz. Za nim zapadła gobelinowa portyera.

Artysta został sam—ze swoją duszą.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

WYCIĄG Z KATALOGU
BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „**BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH**“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „**GAZETY POLSKIEJ**“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1903.

Tom		CENA	
		w oprawie brosz.	
		kop.	kop.
261, 262.	PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA. Przekład J. Paszkiewiczówny i A. Morzkowskiej.	80	50
263, 268, 273.	Mikołaj Rey ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO. „ <i>Biblioteka pisarzy polskich</i> “ tom I, II i III.	120	75
264, 265, 266.	Paweł Bourget . PO SZCZEBŁACH. Powieść.	120	75
267.	Artur Oppman (Or-Ot) . POEZYJE	40	25
269, 270.	Jenerał de Wet . TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. Przekład M. G.	80	50
271, 272.	Bret Harte . OSTATNIE NOWELLE. Przekład W. Zyntram Kościalkowskiej.	80	50
274, 275.	Bogdan Jaxa Ronikier . PROMIENNA TOŃ. Powieść.	80	50

Tom		CENA	
		w oprawie brosz. kop.	kop.
276, 277.	André-Bellessort. PODROŻ DO JAPONII, SPÓŁECZENSTWO JAPONSKIE. Przekład J. P.	80	50
278.	Bolesław Biernacki. BIURALIŚCI. Powieść	40	25
279.	Włodzimierz Trąpczyński. ALBANIA I MACEDONIA, KRAJ I LUDZIE.	40	25
280.	M. Domańska. CICHĄ MOC. Powieść.	40	25
281.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I.	40	25
282, 283.	Maurycy Jókai. CZARNA KREW Powieść, przełożyła B. Jaroszevska.	80	50
284.	NOWELE AMERYKAŃSKIE. Nagrodzone na konkursach, przekład Emilii Węslawskiej.	25	40
285, 286.	George Sand. OSTATNIA Z ALDINICH. W przekładzie i z przedmową Kazimierza Kaszewskiego.	80	50
287.	Cecylia Walewska. HISTORIA DZIECI. Powieść.	40	25
288.	Aleksander Kielland. KAPITAN WORSĘ. Powieść, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.	40	25
289.	Ostoja. NAD MORZEM. Nowelle.	40	25
290.	Edmund Bogdanowicz (Nix). PAN ZAGŁOBA i DYOGENES	40	25
291, 292.	Th. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych. ŻYCIE HODOWCÓW AMERYKAŃSKICH.	80	50
293.	MILIONY. Nowelle żydowskie. Przełożył Jerzy Ohr.	40	25
294, 295.	Edward Rod. DAREMNE WYSIŁKI. Powieść. Tłómaczyła J. P.	80	50
296.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“, Tom II.	40	25
297, 298.	Multatuli. MAKŚ HAVELAAR. Tłómaczyła Br. Neufeldówna.	80	50
299.	Juliusz Piasecki. WALKA. Powieść.	40	25
300, 301.	Andrzej Bonnfons. SPRZYMIERZENIE NAPOLEONA, FRYDERYK AUGUST. Przekład Zofii Przyborowskiej.	80	50
302, 303.	Conan Doyle. PIES BASKERVILLE'ÓW. Powieść. Przełożyła Br. Neufeldówna.	80	50
304.	E. Gebhart. PRZY DŹWIĘKU DZWONÓW. Legendy. Przekład z francuskiego M. R.	40	25

Tom		CENA	
		w oprawie brosz. kop.	kop.
305, 306.	Antoni Miecznik. CZTERY DNI. Powieść.	80	50
307.	Jerome K. Jerome. DZIENNIK WYCIECZKI DO OBERAMMERGAU. Przekład z angielskiego Emilii Węslawskiej.	40	25
308.	Mikołaj Rej. SPÓLNE NARZEKANIE NA NIEDBAŁOŚĆ NASZĄ. „Biblioteka pisarzy polskich“, Tom IV.	40	25
309.	Karolina Swietla. OSTATNIA PANI GŁOGOWSKA. Powieść. Przekład M. Cz. Przewóskej.	40	25

Rok 1904.

310, 311, 312, 314, 315, 316.	Z. Kaczkowski. OLBRACHTÓWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	Hans Leuss. Z WIEZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąpczyńskiego.	40	25
317.	T. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTEŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włódka.	40	25
318.	Anatol France. HISTORIA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emili Węslawskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	Kazimierz Gliński. OBRAZKI Z PRZEŚLÓŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	Henryk Brandt. PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	Iwan Wazow. WYBÓR NOWEL. Przekład Józefy Anc.	40	25
324, 325.	Deotyma. SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	Wilhelm Depping. JAPONIA.	80	50
328, 329.	Grazia Deledda. PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościłkowskiej. Powieść.	80	50
330.	Wiktor Dolezan. MANDŹURYA.	40	25
331.	Jerzy Leueven. H. IBSEN. W tłómaczeniu A. Kordzikowskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pachciarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50

Tom		CENA	
		w oprawie kop.	brosza. kop.
334.	Werner Siemens. WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tołwińskiego.	40	25
335.	Fr. von Eeden. MAŁY JANEK. Z przedm. i tłum. F. L. Lubodziecka. Powieść.	40	25
336.	Eliasz Metschnikoff. STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337.	Stanisław Pilecki. HISTORIA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25
338, 339.	Maurycy Barrés. WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341.	Marya Ratul-Rakowska. PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343.	Maurycy Jókaj. BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344.	NOWELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska.	40	25
345, 346.	M. Czerny. DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348.	Edmund Demolins. POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50
349	Jonasz Lie. ULWUNGOWIE. Kartka z księgi namiętności	40	25
350, 351.	M. Pawlikowski. BAJKI I OPOWIADANIA	80	50
352, 353.	CONRAD (Konrad Korzeniowski). LORD JIM Przekład z angielskiego i przedmowa Emilii Węslawskiej	80	50